

Sztuka podróżowania



Powozownia zamkowa w Łańcucie, pocztówka.

Włodzimierz Wójcik (*Sosnowiec*)

Może na co dzień nie zawsze zdajemy sobie sprawy z tego, że nasze życie jest jedną wielką podróżą. Dotyczy to zarówno tak zwanych wielkich, a więc: artystów, pisarzy, uczonych, inżynierów-wynalazców, jak też całkiem zwyczajnych ludzi. Historia ludzkości znaczone jest podróżą, której synonimem są nazwiska ludzi tej miary, co Ibrahim Ibn Jakub, Marco Polo, Krzysztof Kolumb, Vasco da Gama oraz zwykłych śmiertelników, a więc: kupców, wędrownych cieśli, kosiarzy, domokrążców; beduinów, romów, emigrantów politycznych czy ekonomicznych. O roli podróży – tym razem roli podróży literackich – Jarosław Iwaszkiewicz wypowiedział się następująco: Dla ludzi piszących, poetów, literatów, nie ma jak podróż. Nie tylko zmiana środowiska, ale sam ruch wagonu, stuk kół o szyny już wywołują w umyśle pewnego rodzaju fermenty. Pomysły sypią się, rytm wiersza gada – i ostatecznie

zamiast podziwiać i oglądać jakieś cudzoziemskie cuda – podróżujący pogrąża się we wspomnienia, a ze wspomnień powstają fikcje, nie mające nic wspólnego z otaczającą go rzeczywistością, a jednak dzięki tej rzeczywistości powstałe. Nieco inne aspekty pożytków podróżowania podnosił Kazimierz Wierzyński w cyklu esejów pod wymownym tytułem *Cygańskim wozem*. Wyznawał:

Przelatywałem Atlantyk jedenaście razy, ale nic mi to nie dało. Ogromne samoloty, stu pasażerów, ciasnota, nuda. (...) Samochód to także podstępny przewodnik po świecie. Także supremacja maszyny nad człowiekiem, także odcięcie od rzeczywistości. (...) Właściwie świat nadaje się, by chodzić po nim piechotą. Wtedy jest dostępny i namacalny od oczu do podeszwy. Najbardziej nostalgiczne wspomnienia mam ze szkolnych czasów, z wędrówek (...).

Tym tropem myślowym szli inni skamandryci: Antoni Słonimski jako autor tomików „Droga na Wschód” i „Z dalekiej podróży”, czy Stanisław Baliński jako twórca wierszy *Wieczór na Wschodzie*. Baliński, emigrant mieszkający od czasu wojny w Londynie, zżerany tęsknotą za Polską marzył o zwyczajnych spacerach ścieżkami polnymi ojczyźnej ziemi. W swoim „Dzienniku” notował:

Tak bardzo chciałbym iść nawet z obolałym kolanem, nawet lekko kulejąc przez jakąś ścieżkę polską i widzieć jako cel tej włóczęgi białawe brzozy.

Ale dość cytatów. Widzimy z nich, że są tam zawarte podróżne doznania i zaledwie wybrane tylko opinie ludzi nam współczesnych. A jak bywało dawniej? Słowacki, Mickiewicz, Norwid, Kraszewski i setki innych – to pisarze podróżnicy. Na wołowej skórze tego nie spisać. Zresztą nie o jakiś rejestr tutaj chodzi... Rzec najważniejsza to wnioski.

Podróżowanie jest oglądaniem i przeżywaniem świata. To prawda. Nowoczesnymi środkami lokomocji: szybkim samochodem, statkiem oceanicznym, czy samolotem odrzutowym na wysokości dziesięciu lub dwunastu tysięcy metrów. Można jednak czasem zdobyć się na podróżowanie rowerem, bryczką, furmanką, nawet pieszo. Zwłaszcza pieszo. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z – używając terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim”. W drugim – z „widzeniem bliskim”.

Podróżujemy bezustannie nie tylko pokonując czas i odległości w rozumieniu fizycznym. Czytając na przykład „Pana Tadeusza” kształcimy naszą wyobraźnię. Przenosimy się w miniony już czas i w inną przestrzeń. Wiadomo: na ziemie litewskie lat 1811-1812, nad równiny nadniemeńskie, „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, poślaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem”. Bardziej wykształcony czytelnik wie, że znajduje się w przestrzeni artystycznej, i jest zdolny podążyć także za podmiotem twórczym, w tym konkretnym przypadku za poetą, którego uznajemy za jednego z trzech, czy czterech wieszczów. Bada okoliczności powstania utworu. Biegnie tedy myślą ku Francji, do Paryża, nad Sekwanę, gdzie w latach trzydziestych minionego stulecia, w okresie Wielkiej Emigracji polistopadowej, powstawały artystyczne wizje Mickiewicza... To też jest pyszne podróżowanie. Wymaga jedynie wyrwania się - choćby na niedługi czas - z szalonego, nieludzkiego rytmu codzienności, zwolnienia pędu, i spokojnego oddania się lekturze w ciepłym świetle stołowej lampy.



Powozownia zamkowa w Łańcucie, pocztówka.

Jakie płyną wnioski z niniejszych wywodów? Chyba takie, że jeśli życie jest podróżą, to trzeba pamiętać, iż długość możliwej do przebycia w życiu drogi zależy od mądrze zorganizowanych na tej drodze wygodnych przystanków. Trzeba trochę racjonalizmu, mądrości, rozwagi... Chodzi o to, aby na końcu tej drogi nie żałować – na skutek nieracjonalnego pędu za zdobywaniem mnóstwa przedmiotów i „rzeczy” – tego, iż nie zauważyło się fenomenalnego kształtu liści klonowych, cudownej organizacji życia mrówek, uroku rydza wyłaniającego się z leśnej trawy w lasach w okolicach Siewierza, koloru gila, czy sikorki, która towarzyszy nam w zimowe dni, mądrych liryków Szymborskiej, sugestywnych obrazów Malczewskiego, Chagalla, czy nie słyszało w całej pełni tonów muzyki Vivaldiego... Chwila refleksji nie zaszkodzi. W szaleńczym pędzie życia, który jest czasem po prostu nierozumnym biegiem obok życia, konieczny jest przystanek; potrzebny, po wyjściu z odrzutowca, swobodny spacer właśnie polnymi ścieżkami, po łące, nad strumieniem, „gdzie woda czysta, a trawa zielona...”

Można także, nie bacząc na mgłę i mżawkę, iść krok za krokiem nad naszą Czarną Przemszą i nieść w sercu tę niezłomną nadzieję, że wcześniej czy później władze regionalne podejmą heroiczną decyzję oczyszczenia tej rzeki, w której przed dziesięcioleciem można się było kąpać i łowić wcale smaczne ryby. Jeżdżę po Europie i pamiętam, że Ren i Tamiza były niegdyś prawdziwie martwymi rzekami. W ostatnich latach sytuacja radykalnie się zmieniła. Nad Tamizą spotyka się ludzi z wędkami. Radują ich gesty wskazujące na fenomenalne zdobycze. Człowiek się dziwi, że zazwyczaj chłodni Anglicy mogą tak się zapalać uprawiając wcale szlachetną „sztukę wędkarską” w oczyszczonej już rzece. W roku 1980 mogłem na wysokości Bazylei kąpać się w niegdyś zatrutym Renie. Jestem świadomy tego, że walka z zanieczyszczeniami okazuje się niezwykle kosztowna. To prawda. Prawdą jednak jest i to, że zwalczanie chorób jest jeszcze kosztowniejsze. Wniosek ten okazuje się dość banalny, ale cenny. Wynika on bezpośrednio z uprawianej przeze mnie „sztuki podróżowania”... Po Zagłębiu, po Polsce i po świecie.



Profesor Włodzimierz Wójcik (1932-2012) ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie pracował w latach 1969-1973. Od 1973 roku związany z Uniwersytetem Śląskim, organizował nowo powołany Wydział Filologiczny. Był prodziekanem (1973-1975, 1977-1978) i dziekanem Wydziału Filologicznego (1984-1987), dyrektorem Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987-1991), twórcą i kierownikiem Zakładu Literatury Współczesnej (1981-2002). Przewodniczył Radzie Naukowej Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987-1991). Koordynował badania w Uniwersytecie Śląskim nad literaturą polską XX w. Był członkiem Komisji Historycznoliterackiej PAN - oddziałów w Krakowie i Katowicach, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Związku Literatów Polskich i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Przez wiele lat pełnił funkcję opiekuna naukowego Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

Wiliam Markiewicz - malarz, dziennikarz, wydawca.



Wilek Markiewicz przy pracy, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

Edward Zyman (*Kanada*)

Nie miał sztabu ludzi, rozbudowanej administracji, komisji rewizyjnej, rekwizytorów, słowem normalnego zaplecza związanego z funkcjonowaniem każdego wydawnictwa. Był praktycznie sam: autor artykułów, redaktor techniczny i merytoryczny, kolporter. Pismo, które wydawał nie stanowiło konkurencji dla „potentatów” w rodzaju „Głosu Polskiego”, „Związkowca” czy najmłodszego wówczas spośród polonijnych pism torontońskich - „Echa Tygodnia”. Nie mogło konkurować z nimi ilością kolumn, ani wysokością nakładu. Nie było na tyle zamożne, by w sposób radykalny mogło zmienić swą sytuację, rozwijając sieć współpracowników, modernizując technikę wydawania, zwiększając objętość i nakład. Mimo tych trudności i ograniczeń było na polonijnym

rynku wydawniczym w Kanadzie (i nie tylko) swoistym fenomenem. Przez wiele lat z zadziwiającą regularnością docierało co dwa tygodnie do rąk czytelników, wśród których miało oddanych i wiernych przyjaciół.

Myszę, że po tym krótkim wstępie, domyślicie już Państwo łatwo, że tekst, który czytacie dotyczy „Kuriera Polsko-Kanadyjskiego”, a konkretniej jego redaktora i wydawcy - Wiliama Markiewicza.

Jest zastanawiającą regułą, że nasza wiedza o ludziach, z których działalnością spotykamy się na co dzień, którzy wytrwałością i talentem przebili się przez mur animowej codzienności, których wreszcie efekty pracy służą nam wszystkim jako środowisku od lat - wiemy tak niewiele. Bo właściwie co przeciętnemu czytelnikowi polonijnej prasy kojarzyć się może z nazwiskiem redaktora i wydawcy „Kuriera”? Najwyżej dwie rzeczy: kilkunastoletnie redagowanie przezeń kolumny etnicznej w „Toronto Sun” i artykuł dr Andrzeja Pawłowskiego, który w swoim czasie na łamach „Związkowca” przedstawił malarskie zainteresowania bohatera naszego reportażu. A jeśli tak, to powiedzmy sobie szczerze - nie jest to portret pełny ani prawdziwy. Brak w nim wielu danych, które mogą przybliżyć tego skromnego, unikającego rozgłosu, a przecież tak fascynującego człowieka.



Wilek Markiewicz (z prawej) i Mirosław Supruniuk z „Kurierem Polsko-Kanadyjskim” w Archiwum Emigracji w Toruniu, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

Wyjechał z Polski jako chłopiec. Potem były: matura polska uzyskana w małej miejscowości pod Paryżem, studia biologiczne na uniwersytecie genewskim, praca w instytucie zootechniki we Francji. Od początku interesowała go twórczość, pracy badawczej poświęcał więc – mimo sugestii profesora, który wiązał z nim spore nadzieje – stosunkowo mało uwagi. Miast ślęczyć w pracowni nad żmudnymi analizami wybrał wolność artysty. Paryż ciągnął go jak magnes. Tu znalazł to wszystko, co dawało mu poczucie niczym nie skrepowanej swobody i pełnej podmiotowości. Pracując dorywczo w najbardziej nieprawdopodobnych zawodach, większość swego czasu poświęcał malarstwu i – jak mówi – „pisaniu do szuflady”. Gdy pytam go, co sprawiło, że wiedzę konkretną porzucił na rzecz sztuki odpowiada po prostu: nie miałem nigdy temperamentu naukowca.

W Paryżu nawiązuje liczne znajomości i przyjaźnie z tamtejszym środowiskiem artystycznym głównie malarskim. Zaczyna sił w rysunku, by następnie, zupełnie przypadkowo, pod wpływem kolegów, przejść do malowania. Okazało się, że jego

wprawki wielu znawcom wydały się interesujące. Z czasem bierze udział w niemal wszystkich salonach paryskich, krytyka poświęca mu coraz więcej uwagi, otrzymuje pierwsze propozycje z głośnych i renomowanych galerii. Wszystko to jednak trwa w jego odczuciu zbyt długo. Jest niecierpliwy, pragnie gwałtownej odmiany. Podejmuje decyzję o wyjeździe z Francji. Przez krótką chwilę myśli o Japonii, ostatecznie jednak ląduje w Kanadzie.

Nim jednak przejdziemy do przedstawienia jego długotrwałego epizodu kanadyjskiego, pozostajemy jeszcze przez moment przy malarstwie. Pytam mego rozmówcę o jego stosunek do uprawianej przez siebie twórczości, o nurty i tradycje, które uważa za własne, o twórców, których mógłby nazwać swoimi mistrzami. W odpowiedzi pada wspomniana przez któregoś z krytyków francuskich opinia, że jego malarstwo w mniejszym stopniu jest formą poszukiwań graficznych, w zdecydowanie większym natomiast stanowi pewien rodzaj poezji wyrażonej pędzlem. Zgadając się z tym, wydawca „Kuriera” mówi, iż bardziej czuje się poetą malarstwa niż rzeczywistym malarzem. Jeśli chodzi o tradycję - lubi sztukę epok odległych. Dotyczy to nie tylko malarstwa. - Dla mnie - mówi - muzyka skończyła się gdzieś na baroku, architektura - na wczesnym gotyku, literatura też nie ma wiele wspólnego z awangardą. Fascynuje się malarstwem El Greca, Hieronima Boscha, choć w tym co robi stara się być przede wszystkim sobą. W sztuce szuka metafizyki i tajemniczości. Uważa, że pierwiastki jednego i drugiego ukryte są wokół nas, sztuka ma je wydobyć. W tym sensie jest twórcą realistycznym.

Malarstwo dostarcza mu wielu satysfakcji i drobnych funduszy. Jest wystawiany w kilku galeriach, sprzedaje, otrzymuje zamówienia. Gdy był już w Kanadzie nadeszła z Paryża oferta jednej z najbardziej renomowanych galerii francuskich, która zainteresowała się jego malarstwem. Odległość pokrzyżowała nieco plany, a być może - stwierdza z uśmiechem - była to okazja życia.



Tyle o malarstwie, przejdźmy teraz do literatury. W 1967 roku W. Markiewicz pisze po francusku i przetłumaczywszy przy pomocy żony, rodowitej Hiszpanki, na hiszpański - wydaje w Madrycie w serii dreszczowców dużą nowelę pt. *Kanibale duszy*. W tym samym czasie, a także nieco później ukazują się jego artykuły, opowiadania i szkice w prasie szwajcarskiej i francuskiej.

Po przyjeździe do Toronto rozpoczyna ożywioną współpracę z pismami etnicznymi. Przez krótki czas jest związany z „Głosem Polskim” (okres redaktorów Wyrzykowskiego i Rusinka). Drukuje w języku francuskim, hiszpańskim i angielskim. Rozpoczyna trwającą trzynaście lat współpracę z „Toronto Sun”, gdzie redaguje kolumnę etniczną. Z tego co mówi, zakończył tę współpracę bez specjalnych sentymentów. Był to wysiłek ponad jego siły, zwłaszcza, że równolegle redagował i wydawał własne pismo. Nawiasem mówiąc pomysł wydawania „Kuriera” zaczerpnął z prasy etnicznej właśnie, dokładnie z francuskiego „Kuriera Południowego”. Początki były bardzo trudne. Mój rozmówca nie chce specjalnie rozwijać tego tematu. Uważa, że wystarczy, jeśli stwierdzi, że prócz ogromnego wysiłku, pokonywania normalnych barier związanych z każdym debiutem, nie brakowało

przejawów ludzkiej złości i nieżyczliwości, płaskich pomówień i intryg. W pewnym momencie „Kurier” odczuł to bardzo poważnie, był nawet zagrożony. W sumie jednak zwyciężyli czytelnicy, którzy nie opuścili swego pisma w najtrudniejszych dla niego momentach.

Skoro już jesteśmy przy piśmie, pytam jego redaktora i wydawcę, czy wie jak wyobrażają sobie „kuchnię” „Kuriera” jego czytelnicy? Czy wiedzą, jak to się dzieje, że gazeta redagowana przez jedną osobę, przynosi tak interesujący i żywy serwis informacyjny z całego świata, który jest swoistego rodzaju pigułką zawierającą wszystkie istotne treści, jakimi żyje współczesny Polak na emigracji.

The Toronto Sun, Wednesday, July 19,

THE ETHNIC PRESS

by William Markiewicz



Echo, the monthly of young Polish Canadians believes that the abandonment of traditional cultural values left the individual "not only homeless, but without any focal point of existence". The paper also believes that ethnic co-operation will keep the English and the French "from each others throats", and the realization by both dominant groups of the existence of other cultural forces may be a tool to preserve the unity of Canada.

• • •

Związkowiec welcomes Manpower and Immigration Minister Mackasey's liberalisation of immigration laws. The paper says that no norms may be "good" if applied too rigidly, and says the Anglo-Saxon immigrant will automatically have more "points" because of his knowledge of English.

• • •

Nase Novine considers that Canada needs a new constitution, independent from its British model. The paper says also that Canada needs more independence from the big American corporations.

• • •

Głos Polski considers that Nixon's visit to Moscow, despite its theatrical effects, doesn't hide the fact that World War III began long ago, in Vietnam; at the Eastern Mediterranean coasts and in the Persian Gulf, and may or may not be a prelude to World War IV.

• • •

Czas, on the contrary, sees a tendency towards stability on the world scene for the years ahead. The paper says that all countries must accept — willingly or not — the balance of power and diplomats must take the initiative, not the armies.

• • •

La Voce Della Domenica speaks in defence of . . . Anglo-Saxons. The paper wonders what difficulties are brought by a mass of immigrants to the daily life of the "phlegmatic, silent, ordered and compassionate" Anglo-Saxon. The paper also notes that there are over 5 million Italian immigrants all over the world and 900,000 of them are in Canada.

• • •

Związkowiec says that Spain is not as militaristic as the world believes. The paper says that Spain's army is apolitical and doesn't take part in the governing of the country. A Spaniard pays only \$19

The evolution of separatism

DOUGLAS FISHER



It was hard to believe that the bitter, passionate writer of White Niggers of America had once been hired as an editor of the influential magazine, Cite Libre, by Pierre Trudeau. But readers, impressed by White Niggers who turn to Pierre Vallieres' newest book, Choose (Newpress, \$5.95) will discover why the renegade philosopher of the FLQ and the October crisis was once associated with the Prime Minister. Their writing dynamic and skills of argument are remarkably alike.

Of course, the lines of argument are different. In Mr. Trudeau's best essays of the early and mid-60s the case for federalism and against Quebec nationalism and independence is put with cool vehemence and sweeping arguments from law, history and political theory.

In Choose, Vallieres, the separatist, has Trudeau's kind of force and logic. He is seemingly impersonal (in contrast to his autobiography) but sharp with invective of ridicule and very direct example and exposition.

Vallieres, of course, is not addressing himself to the Trudeauans and the Liberals — "They, the dominant Canadian bourgeoisie and its clique of Quebec prison guards (mostly liberals, not in conviction but membership)."

His arguments

His arguments are, first, for his old comrades in the FLQ who believe in violence and guerrilla tactics in what they think to be a "revolutionary" situation.

Secondly, he addresses the "international theoreticians of the abstract", that is, the Marxist intellectuals in Quebec, who either deride nationalist sentiment or believe that its priority comes far back of the international class struggle.

Thirdly, he wants the organized people, "the labor centrals," to commit themselves to the Parti Quebecois of Rene Levesque, not to reject it as a middle-class party of opportunists.

Vallieres insists that the struggle for independence has priority over Marxist or other socialist goals and theories. In effect, Vallieres is now a man of moderation, making the kind of appeal to the radicals which some

New Democrats such as Walter Pitman have been making to the Waffle. Don't ruin the chances for a broadly based party of the people by too much theorizing, evangelical purity, and frightening talk.

Vallieres' explanation of why this is not the time for violence, bombs, cells and revolution sounds remarkably like the reasoning Pierre Trudeau put forward in 1964 when he lambasted "the separatist counter-revolutionaries" in Cite Libre.

Trudeau insisted that French Canadians had not exhausted the ways to use federalism for economic and cultural advance. These are some of Vallieres' arguments:

"You don't provoke the authority's army in the name of the people when you do not yourself possess an authentic people's army."

One of the "objective conditions . . . exist for a situation to be revolutionary and armed struggle to be necessary."

There is no "absolute incapacity on the part of the ruling authorities to satisfy popular aspirations and grievances."

"As long as the working class profits by the national policy or as long as it preserves the hope or the illusion of profit, it will support these policies . . ."

Quebec is not yet at the stage of "suppression of civil and democratic liberties." It is still possible that the "mass struggle may organize and develop within the electoral process, and, thus, a party of the masses may win political power in the elections."

It is easy for an Anglo outsider like me to exaggerate the significance of Vallieres' Choose as a political influence. But it is writing of great power and persuasion. Its publication by the publisher Newpress in English coincides with a paperback from the same firm. Danny Droche, a Toronto academic, has edited the manifestos of The Common Front, that is, the two labor centrals and the teachers' union in Quebec.

Federalism ignored

THE PICK OF PUNCH



Kolumna etniczna w „Toronto Sun”, fot. arch. Nikolette Jakovac (żony artysty).

– Nie, czytelnik raczej nie zdaje sobie z tego sprawy. Potwierdzają to listy, w których prosi się mnie często o rzeczy niewykonalne. Najmniejszej nawet korespondencji staram się jednak nie pozostawiać bez odpowiedzi, zwłaszcza, że mam czytelników głównie wśród emigracji starszej, dla których „Kurier” jest j e d y n y m

przyjacielem. Doceniam to i staram się być godnym tej przyjaźni.

Pan Markiewicz nie obawia się uchylić rąbka tajemnicy. Mówi, że materiał dla jego gazety stanowią wszystkie polonijne pisma świata, z których za zgodą wydawców przejmuje interesujące go informacje. Gdy pytam, dlaczego nie waha się o tym mówić, ujawniając tajniki warsztatu, stwierdza z ujmującą szczerością: nie uznaje tajemnic. Uważam, że skrywanie czegoś zawiera w sobie zarodek zła.

Nie obawia się konkurencji. Wręcz przeciwnie: jest otwarty na wszelką współpracę. Gdy pytam, czy gazeta, którą wydaje od wielu lat lubi go, odpowiada z uśmiechem, że chyba tak, choć jest to obustronnie trudna miłość. Bywa zmęczony. Pamięta chwile, gdy myślał poważnie o rezygnacji. W sumie jednak nie wyobraża sobie życia bez „Kuriera”. Jest jego wielką namiętnością i obowiązkiem, czymś co stwarza mu ukochaną przezeń wolność wypowiedzi i pozwala na kontaktowanie się z ludźmi. Wierzy głęboko, że jego ciężka, pełna wyrzeczeń praca jest im potrzebna.

Powoli zbliżamy się do finału. Taśma magnetofonowa przyjmuje co prawda jeszcze długo refleksje mego rozmówcy, ale pamiętając o cierpliwości czytelników „Głosu” pozostawiam je już poza artykułem. Nie sposób zresztą czyjegoś całego życia przedstawić w jednym, najdłuższym nawet artykule. Kończymy więc spotkanie z człowiekiem, który mieszka wśród nas, urodził się w Polsce, pisze w języku francuskim, wydaje po hiszpańsku. Nie obcy jest mu także angielski, którym posługuje się w Kanadzie na co dzień, niemiecki, włoski, portugalski. Z człowiekiem tęskniącym za kulturą europejską, który jednakże ukochał nad życie Kanadę, będącą dlań symbolem wielorakich możliwości i swobody. Człowieka, który zafascynowany spekulacją naukową i futurologią, utrzymuje żywy kontakt z tym, co go otacza tu i teraz.

Przedstawiając czytelnikom „Głosu Polskiego” redaktora i wydawcę „Kuriera”, czynię to z przeświadczeniem, iż polonijny rynek czytelniczy w Toronto i Kanadzie jest na tyle chłonny, że znaleźć w nim może miejsce wiele pism, zwłaszcza tak różnych jak nasze. Mój rozmówca, sam będąc wiernym czytelnikiem „Głosu”, przypomina swoją własną maksymę, wedle której „im więcej nas na rynku, tym bardziej nas czytają”. Bardziej w znaczeniu uważniej, dokładniej, bo takie są konsekwencje możliwości wyboru. Jedna gazeta zachęca do czytania drugiej.

- To tak - mówi - jakby goście w restauracji podawali stale menu, w którym jest tylko jedno danie. Po pewnym czasie musiałyby mu się to znudzić. Gdy w karcie propozycji jest więcej, człowiek próbuje wszystkiego, staje się bardziej wybredny, poznaje różne kuchnie. Słowem jako konsument - rośnie. Podobnie jest z czytelnictwem.

Od autora po latach: Artykuł ukazał się w wielkanocnym (13/14) numerze wychodzącego w Toronto „Głosu Polskiego” opatrzonym datą 2-16 kwietnia 1985 r., w cyklu „Ludzie naszego miasta”. Jako nowy redaktor pisma prezentowałem w nim interesujące, wyraziście obecne w środowisku polskiej diaspory postacie kultury, polityki, życia społecznego. William (Wilek) Markiewicz był jednym z jego bohaterów, choć w kontaktach codziennych jawił się jako człowiek wyjątkowo skromny, unikający rozgłosu, stroniący od taniej popularności. Używając dzisiejszego języka powiedzielibyśmy, że nie był celebrytą.

Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto, w wieku 84 lat. Jego prace były wielokrotnie prezentowane na łamach magazynu „Culture Avenue”.

Wywiad:

<https://www.cultureave.com/filozof-bytu/>

Henryka Wańka język krajobrazu

Korespondencja z Polski

Rozmowa Krystyny Lenkowskiej z pisarzem i malarzem Henrykiem Wańkiem o literackich fascynacjach, sztuce, Zdzisławie Beksińskim i krajobrazach kulturowych Śląska i Podkarpacia.

Krystyna Lenkowska: Jesteś erudytą, „osobowością renesansową”: malarzem, eseistą, prozaikiem, twórcą scenografii teatralnych i filmowych, autorem plakatów. Fascynujesz się, a co najmniej fascynowałeś, kulturą Dalekiego Wschodu, mistyką, ezoteryzmem, okultyzmem, gnozą.



Henryk Waniek

Henryk Waniek: Czy zasługuję na tak miłe słowa? Szczególnie onieśmiela mnie ów „człowiek renesansu”. Jestem przekonany, że każda ludzka istota – ludzka, powtarzam, a nie tylko człekokształtna – potencjalnie jest wszystkim. Coś jednak sprawia, że załączki geniuszu, które posiada w dzieciństwie, maleją, obumierają, rozpraszają się i w rezultacie, zamiast Arthurem Schopenhauerem, Albertem Einsteinem lub Piotrem Czajkowskim, zostaje jakąś anonimową bidulką. Dlaczego?

Spośród niezliczonych odpowiedzi wybrałbym tę jedną – zabrakło odrobiny szczęścia. Może też odwagi bycia. Na pewno miałem więcej szczęścia niż odwagi. Ale gdzież mi tam do Czajkowskiego czy Schopenhauera! A tym bardziej do „człowieka renesansu”. Swoją drogą, w wieku XV czy XVI czułbym się chyba lepiej niż w naszej współczesności.

Istotnie, zajmowałem się różnymi rzeczami z mniejszym czy większym

powodzeniem. Podejmowałem rozmaite próby. Przed niektórymi się cofałem. Inne kończyły się porażką, lub zniechęceniem. I w konsekwencji jestem, gdzie jestem oraz taki, jaki jestem. Żaden „człowiek renesansu”.

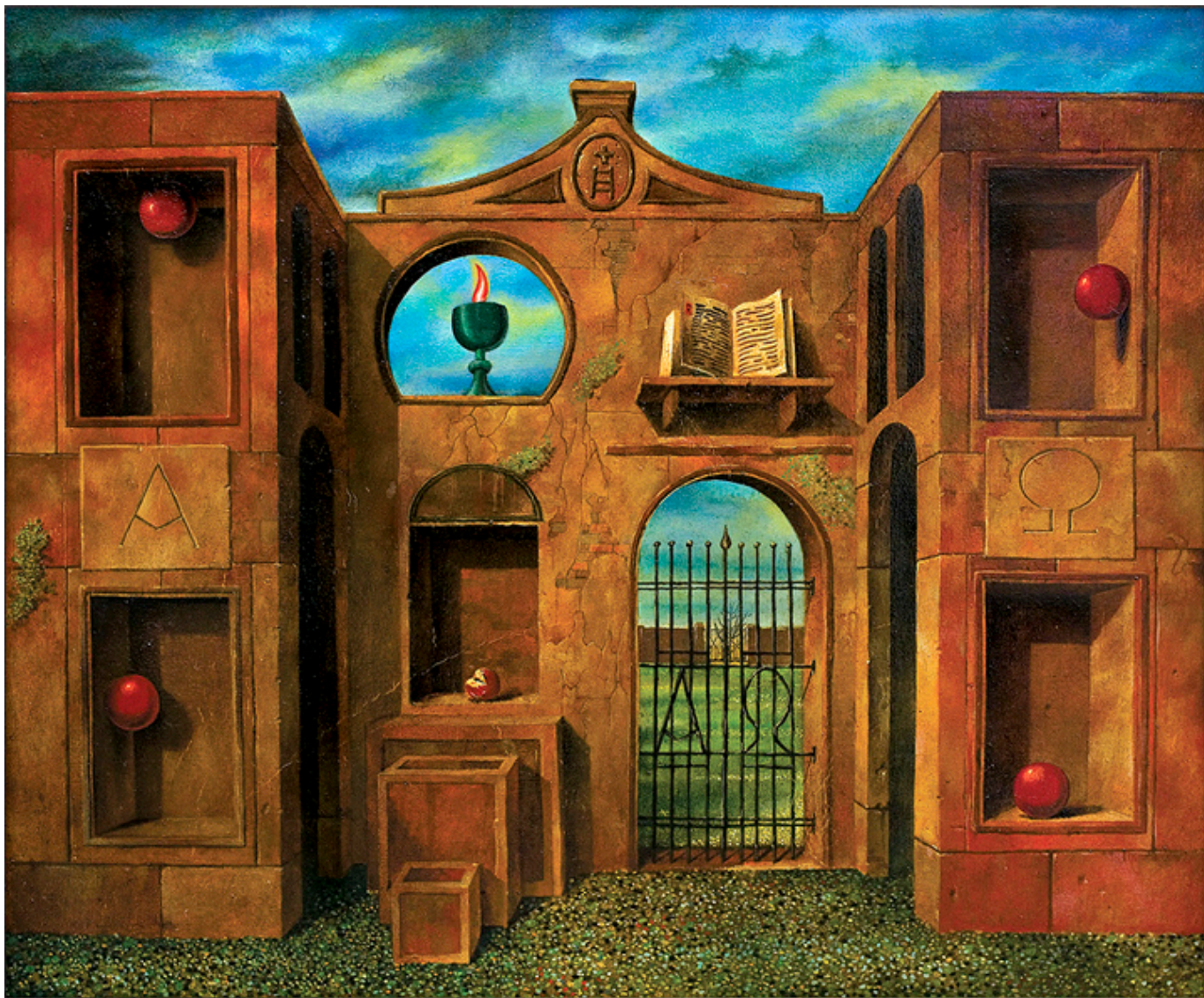
Co zaś dotyczy moich fascynacji ezoteryką, gnozą, i tak dalej, nie może być inaczej, skoro świat i życie to zjawiska z gruntu tajemnicze. Ludzie, którzy nabierają się na racjonalizm, budzą we mnie tkliwe współczucie. Chyba jestem agnostykiem, ale gdyby ktoś mnie przyparł do muru pytaniem, jaką religię mogę zaakceptować, byłby to buddyzm. Tak. Uważam się za buddystę-apostatę, nie widzącego dla siebie miejsca w tych jakże modnych azylach, gdzie śpiewa się sutry i pali kadzidełka.

KL: Czy właśnie dzięki dystansowi swojej apostazji mogłeś tak wnikliwie rozpracować w „Sprawie Hermesa” tę tajną inkwizytorską komisję grupy teologów, którzy zmienili XVIII-wieczne Prusy w najbardziej chrześcijańskie państwo świata?

HW: Nie było w tym żadnej wnikliwości. Raczej przypadek, jeśli ktoś wierzy w przypadki. To się zaczęło od szpargałowej książeczki, na którą trafiłem we wrocławskim antykwariacie. Jak wiesz, jestem wyczulony na hasło „Hermes”, które się tam pojawiało na prawie 120 stronach. Nabyłem ją i w trakcie lektury okazało się, że po pierwsze, chodzi o innego Hermesa, a po drugie, że dotyczy mało znanej afery na dworze pruskim. Miała ona miejsce akurat wtedy, gdy XVIII-wieczną Polskę rozbierano po raz drugi. Kres tej zuchwałej aferze położyła śmierć króla Fryderyka Wilhelma III. Napisałem o tym esej *Inny Hermes*, który znalazł się w zbiorze pod tym samym tytułem.

Gdy Wydawnictwo Literackie zaproponowało mi wydanie książki, postanowiłem użyć tej historii rozszerzonej o wątki uboczne. Wyszedł z tego obraz teologii pomieszanej z polityką, co jest najbardziej niesmaczną mieszanką. Ale w protestanckich Prusach żaden fundamentalizm religijny na dłuższą metę nie ma szans. Więc aktywność Daniela Hermanna Hermesa była krótka i do historii przeszła jako wstydlivy eksces. Napisałem na poły fantastyczną, trochę żartobliwą opowieść, dziejącą się w zaświatach, gdzie rozpatruje się ziemskie grzeszki bogobożnych spryciarzy. Ale w polskiej, jakże ludowej religijności, zaświaty na modłę pruską są nie do pomyślenia. Zabawne, że z kolei Niemcy, którzy przeczytali tę książkę, uznali, że traktuje ona kpiąco niemieckie symbole i ideały. Ktoś tam w dziale promocji WL-u dopatrzył się

nawet aluzyjności do ówczesnych rządów Prawa i Sprawiedliwości, i upstrzył okładkę stosownymi sloganami, ale było to skojarzenie chybione.



Henryk Waniek, Brama do ogrodu, olej na płótnie.

KL: A swoją drogą, aspekt niemieckości to też twój znak rozpoznawczy. Weźmy choćby twoją pierwszą powieść, też z elementami fantazji pt. „Dziady berlińskie” i ostatnią „Obcy w kraju urodzenia”, w której protagonista jest niemieckim dziennikarzem. Jednak najbardziej znany jesteś jako świetny malarz i pisarz śląski, „górnik śląskiej kultury”, jak powtarza Magdalena Rabizo-Birek w swoich recenzjach. Czy ta specjalizacja wynika bardziej z lokalnego patriotyzmu czy raczej z chęci, wręcz misji, pokazania światu jak mało znane, lecz arcyciekawe i promieniujące, jest *Śląsko-Silesia-Schlesien*, twoja Ziemia Święta, miejsce na

skrzyżowaniu kultur, zwłaszcza polskiej i niemieckiej? Ale też kultury Czechów, Żydów, Łużyczan.

HW: No tak, na gruncie śląskim czuję się lepiej i pewniej. (...) Przesadzę – ale niewiele – jeśli powiem, że od wielu lat jedyną rzeczą, która mnie obchodzi jest właśnie Śląsk. Paradoksalnie, wyrok w tej sprawie zapadł w jakiś czas po tym, jak się stamtąd wyprowadziłem. Było to pewnie potrzebne, by moje widzenie objęło jego całość, z bliska nie tak widoczną. (...) Nieco pretensjonalnie mógłbym powiedzieć, że moją ojczyzną jest prawda. Inną sprawą jest, czy w naszym świecie prawda jest artykułem pierwszej potrzeby. Już nauczyliśmy się oddychać pozorem, fikcją, kłamstwem w żywe oczy. No więc opowiadam ten Śląsk, w różnych wymiarach – współczesnym, historycznym, subiektywnym, społecznym, realnym i baśniowym. Ale w tym prowicjonalnym zapatrzeniu odnajduję sprawy zasadnicze nie tylko dla Śląska.

KL: Jak byś opisał swój prywatny potop, po którym pejzaż nie był ci już potrzebny? Czy słowa, które wypowiada postać przywodząca na myśl Witkacego w „*Finis Silesiae*” na temat pożaru, potopu swojego świata krajobrazów jest też twoim zakamuflowanym wyznaniem zwątpienia?

HW: Nie powiedziałbym, że kiedyś stanął mi na drodze większy kataklizm; potop, trzęsienie ziemi czy wewnętrzna ruina. Staram się być – na ile to możliwe – namiętym czytelnikiem świata, ale tak, by namiętność nie pozbawiała rozsądku. Księga świata jest pisana różnymi językami, z nich najbliższy dla mnie jest język krajobrazu. I w tym sensie nigdy nie przestał mi być potrzebny. Ludzkie losy, tła polityczne, archiwa pamięci rodzinnej czy kolektywnej, to tereny emocji, łatwe do świadomych lub nieświadomych zniekształceń.

Krajobraz natomiast mówi o rzeczywistości i ludziach znacznie więcej, niż oni sami chcieliby o sobie powiedzieć. Wspominasz o tej postaci z powieści *Finis Silesiae*, którą rozpoznajesz jako Witkacego, bo rzeczywiście o nim myślałem, choć go nie nazwałem. Więc i ja, oczywiście, nie jestem optymistą. Jeśli ktoś psuje świat, to najbardziej optymiści. Nie mógłbym tylko powiedzieć, że jestem – jak Witkacy – katastrofistą. Ale bardzo go cenię. Nie za to akurat, czym tak się podniecają habilitowani entuzjaści i wielbiciele jego grymasów. Według mnie wielkość Witkacego tkwi w jego egzystencjalnej tragedii. Był trzeźwym świadkiem nędzy

duchowej międzywojennego dwudziestolecia, usiłującym jako terapeuta służyć swemu krajowi. Bezskutecznie. *Niemyte dusze*, jego niewątpliwie największe dzieło, traktowano jak jeszcze jeden wybryk skandalisty. Niesłusznie.



Henryk Waniek, Cztery strony świata.

KL: Interesują mnie twoje młodzieńcze początki artystyczne. Jak się zaczął Waniek malarz, pisarz? Czy od grupy Fantazos na ASP w Krakowie? Jaki wpływ miała silna grupa ezoteryczna ONEIRON na twój rozwój jako młodego artysty?

HW: Początki zawsze ukrywają się w mgłach dzieciństwa; wyłaniają się z jego zabaw i gier, a później toczy się to jakimś zagadkowym duktem. Spotykamy różnych ludzi, coś otrzymujemy, coś ofiarujemy, rozstajemy się, idziemy dalej. Szkoły, towarzyskie sojusze, związki są tylko milowymi słupami na tej drodze. Historia - zresztą niedługa - grupy Fantazos, to temat na długą opowieść, którą trzeba by zacząć w latach 50., w katowickim i bielskim Liceum Plastycznym, którego uczniami byli Michał Józefowicz,

Henryk Ziembicki, Barbara Białasik i ja sam. Już wtedy kiełkowały w nas idee, które rozwinęły się podczas studiów w Akademii Sztuk Pięknych. Z ideą tej grupy wystąpił Henryk Ziembicki i był jej tak wierny, że gdy wszystko się rozsypało, zmienił nawet swoje nazwisko na Fantazos i jako taki jest artystycznie aktywny gdzieś w USA. Zasadniczo byłem i nadal jestem sceptyczny wobec wszelkich „grup artystycznych”, oraz doktryn. Bo ostatecznie warunkiem twórczości jest samotność.

Ale później, w tych szarych i strasznych latach 60., na tym nieludzkim Górnym Śląsku, jakimś cudem doszło do spotkania pięciu osób, których postawy i pragnienia były dość zbieżne: Urszula Broll-Urbanowicz, Antoni Halor, Zygmunt Stuchlik, Andrzej Urbanowicz oraz ja. Stworzyliśmy jedyną w swoim rodzaju, niezależną od oficjalnej polityki kulturalnej, manufakturę idei. Ale nie była to żadna grupa artystyczna i przynajmniej na początku nie mieliśmy zamiaru działać publicznie. Jednym z projektów było kolektywne wykonywanie tzw. Czarnych Kart i gdy już powstało tych 25 obrazów, pojawił się pomysł by je zademonstrować na wystawach. I dopiero wtedy – początek lat 70. – powołaliśmy *ex post* tę grupę, wraz z nazwą ONEIRON. Zresztą niebawem nasz kolektyw też się rozpadł. Ale wcześniej wokół naszego pięcioosobowego rdzenia gromadził się „drugi krąg” przyjaciół i kibiców – malarze, pisarze i poeci, kompozytorzy, nieokreślonego typu hipisi, krótko mówiąc – ludzie kontrkultury. Moje spotkanie z Andrzejem Urbanowiczem uważam za jeden z tych cudów, które się jednak zdarzają.



Henryk Waniek, Trzecia forma, olej/płyta, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi.

KL: W biograficznej książce o Zdzisławie Beksińskim, autorka Magdalena Grzebałkowska wspomina wiele razy twoją osobę. Jak ty sam możesz odnieść się do swojej relacji z Beksińskim i ewentualnie do faktów z tej książki?

HW: Grzebałkowska przepytła dwadzieścia albo trzydzieści osób, szperała po archiwach, zgłębiała listy Beksińskiego i tak dalej. Napisała solidną książkę, ale moje odczucia są dość mieszane. Byłoby chyba podobnie gdybym brał udział – powiedzmy – w bitwie pod Grunwaldem, a potem przeczytał *Krzyżaków*. A już zdecydowanie odrzucam bardzo podejrzany film *Ostatnia rodzina*. Powiem krótko, zerowanie na medialnej stronie dramatów, jakie się zdarzyły w rodzinie Beksińskich uważam za rzecz niegodną. Moja zażyłość ze Zdzisławem, Zosią, jego żoną i Tomkiem, ich synem, datowała się od roku 1968 i trwała aż do końca, jakkolwiek po śmierci Tomka znacznie ostygła, głównie za sprawą demonicznego dobroczyńcy Zdzisława. Gdy Grzebałkowska skontaktowała się ze mną, za fakt obiecujący uznałem to, że ktoś mnie wyręcza. Bo sam zmagalem się z wewnętrzną potrzebą opisanego tego złożonego przypadku. Ale to mnie przerastało, pomijając, że miałem inne zadania. No i przecież Wydawnictwo Znak zwróciło się do Grzebałkowskiej, czego rezultatem jest „prawda”

z drugiej ręki, trochę jak z magla. To się u nas nazywa „literatura faktu” i trochę mnie dziwi królowanie jej mitu.

KL: A propos mód i mitów. Doświadczamy ostatnio istnego szaleństwa wokół Davida Hockney'a. Mnie osobiście on też zachwyca, choć nie lubię ani modnych pisarzy ani artystów. Przypadkiem poznałam jego malarstwo mieszkając w Bradford w latach 90. A co ty sądzisz o Hockney'u?



Henryk Waniek

HW: Ja też jestem ostrożny wobec „szlagierów sezonu”, ale Hockney to przyzwoity malarz, który nie nabrał się na hura-modernizm. Czasami flirtuje z „nowoczesnością”, ale widać, że mu to nie pasuje. Właściwie nie budzi we mnie odrazy takiej jak na przykład amerykańscy spryciarze pop-artu z Warholem na czele. W końcu jednak to tylko sprawa gustu. Czy obrazy Hockneya otwierają mi na coś oczy? Nie. Mogę popatrzeć, pokiwać głową, pójść dalej.

KL: Z kręgu artystów współczesnych przejdźmy do tematu mistrza. Podobno prof. Zbigniew Kowalewski był twoim mistrzem na akademii. Wspominałeś kiedyś, że podziwiasz śląskiego malarza naiwnego Erwina Sówkę. W twojej prozie powtarzają się takie nazwiska jak Bosch, Rembrandt, Dirk Bouts. Zaś inne niż malarskie dziedziny reprezentują Platon, Pitagoras, Marek Aureliusz, Swedenborg, Jakub Böhme, Blake, Mircea Eliade, Jung, Bachelard, Huxley, Orwell. Proszę o wypowiedź

na temat pt. „mój mistrz”?

HW: To bardzo trudne pytanie, bo jeśli „mistrz” ma być synonimem wzoru działania, nauczyciela, którego należy naśladować i ewentualnie prześcignąć, nic mi nie przychodzi do głowy. Tym bardziej, że niektóre z nazwisk, jakie przywołujesz są mi z gruntu obce. Mało mnie obchodzi Orwell czy Blake, Swedenborg czy Rembrandt. Wspomniany Zbigniew Kowalewski, którego szczerze podziwiałem i kochałem, któremu wiele zawdzięczam, nie kwalifikował się na trenera. Był człowiekiem zbyt uczciwym, by zgrywać się na mistrza. A Erwin Sówka to jest przypadek szczególny. On również jest przede wszystkim człowiekiem. Maluje z solidnością chyba podobną do tej, z jaką jako górnik wydobywał węgiel. A w dodatku, to poważny myśliciel. Małgorzata Szejnert na zakończenie swego *Czarnego ogrodu* cytuje słowa Sówki. Uważam je za najbardziej wartościowe w całej książce. Aż mnie korci, by je tu zacytować, ale kto ciekawy, niech tam zajrzy. Natomiast w tej litanii moich rzeczywistych i rzekomych idoli nie wymieniłaś postaci o wielkim dla mnie znaczeniu, która mogłaby być moim „mistrzem”, gdybym się z urodzeniem nie spóźnił o przeszło 100 lat. Więc niech pozostanie bezimienna.



Henryk Waniek, Na niebie.



Henryk Waniek, Na ziemi.

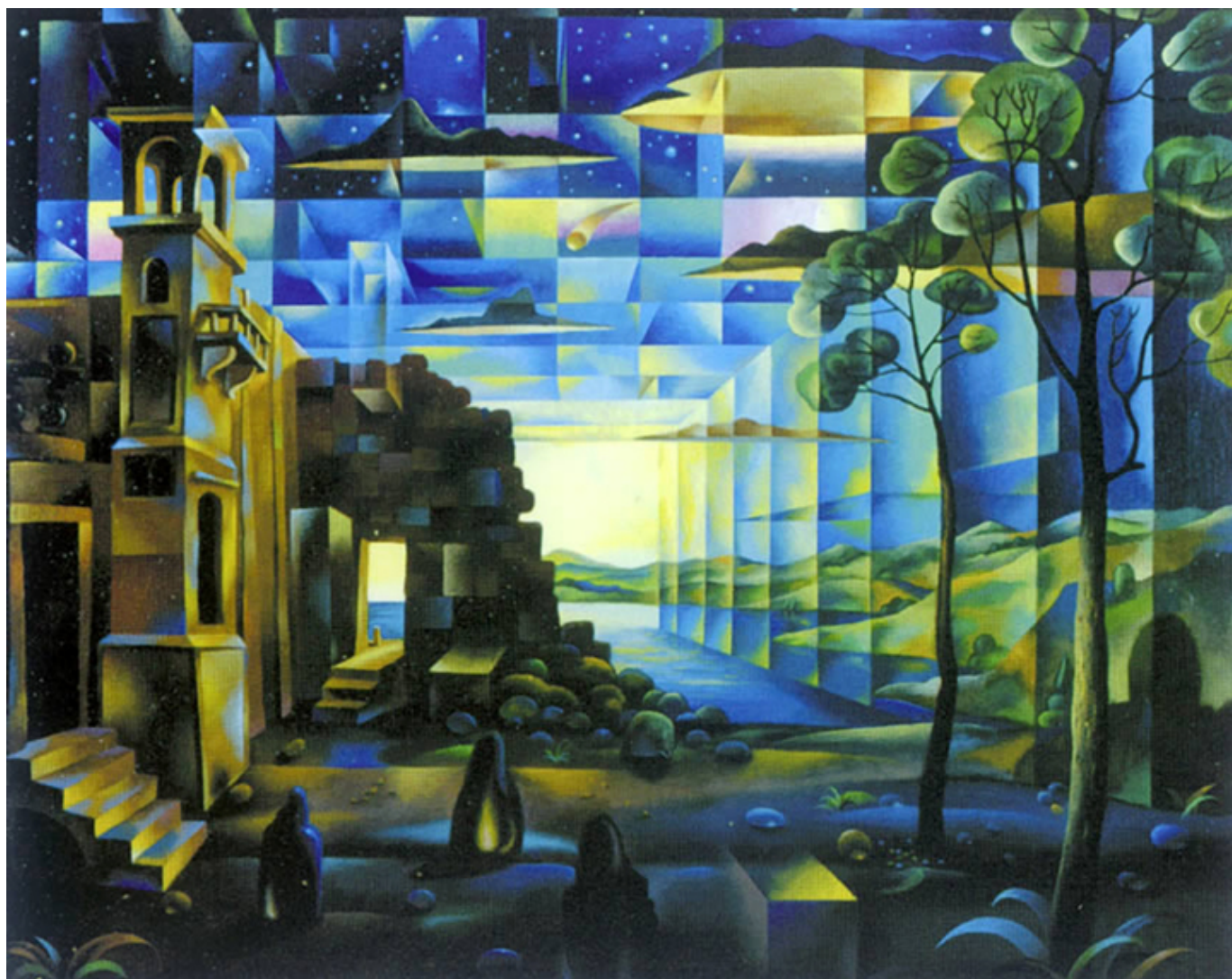
KL: Gdyby nie ta liczba, zgadywałabym, że chodzi o Caspra Davida Friedriecha, malarza okresu romantyzmu, też miłośnika Sudetów. Pewnie ta fascynująca postać pozostanie dziś dla mnie tajemnicą. A czy tajemnicze toposy takie jak Tęcza, Mapa, Liczba 37, Droga, Krajobraz, Postać Hermesa to twoje fascynacje czy już artystyczne „obsesje”?

HW: Liczba jest w całkowitym porządku. Urodziłem się w roku 1942, a C.D. Friedrich zmarł w 1840. Nie był aż tak wielkim miłośnikiem Sudetów, jak się wydawało jego miłośnikom w czasach Trzeciej Rzeszy. Jeśli malarstwo, które dzisiaj jest już dyscypliną upadłą, kiedykolwiek się odrodzi, to sztuka Friedricha będzie najlepszym wzorem. Jego pejzaże to są po prostu obrazy czystego *sacrum*, po odrzuceniu całej tej podejrzanej emblematyki religijnej. Co zaś do pozostałych

drobiazgów o które pytasz, powiem tylko, że są to tematy dość obszernych tekstów, które opublikowałem w tych kilku eseistycznych zbiorach, jakie się ukazały. Choćbym stawał na głowie, nie zdołam, ani nie chcę ich streszczać. Odsyłam do lektury. Czy obsesje? Zapewne. Ale też fascynacje. Przedmioty badań. Tematy rozważań. A do tego, punkty orientacyjne w chaosie świata. Drogowskazy.

KL: Czyli jednak Friedrich. Porównywałam Wasze daty urodzin, stąd to zawahanie. Kontynuując temat fascynacji, skoncentrujmy się więc „tylko” na toposie Drogi. Czy głównym powodem porzucenia malarstwa jest twoja fascynacja motywem wędrówki, której więcej przestrzeni oferuje pisarstwo?

HW: Wiesz, to może nieskromnie zabrzmieć, ale to co miałem do namalowania, już zrobiłem. I wystarczy. Nie będę się dożywotnio powtarzał, co tak chętnie czynią malarze i „malarze”. Oczywiście, sama czynność malowania jest boska. Przepadam za tym i jeśli zdarzy się wolna chwila, już coś rysuję lub maluję. Ale tym nie będę przecież ludziom zawracał głowy. Niech to robią inni, lepsi ode mnie, bo na świecie nie brak malarzy. Są jednak sprawy, których się nie da namalować. Które trzeba napisać. Tyle, że już pisanie nie jest czynnością boską. To czarna harówka, mordęga i cierpienie. Obraz czasami maluje się sam. A tekst sam się nie napisze. Nie muszę ci przecież tłumaczyć.



Henryk Waniek, Odlot XVII.

KL: Czy pisząc łatwiej otworzyć się na tajemnicę istnienia by zbliżyć się do *harmonia mundi*? Przecież twoje malarstwo określa się mianem malarstwa metafizycznego. Mnie ono napawa niepokojem i przecuciem czegoś co jest za „brzegiem świata widzialnego i przedstawionego”[1]. Czy ten ludzki lęk przed nicością stoi w sprzeczności z poszukiwaniem harmonii?

HW: Ach, te przymiotniki - „metafizyczne”, „magiczne”, „tajemnicze”. Tymczasem sprawa jest w najwyższym stopniu prosta. W ogóle nie interesowało mnie malarstwo, malarskość, forma artystyczna i te wszystkie „duperele”. Mnie interesowało tworzenie obrazów. A nawet nie tworzenie, bo jest to słowo nieznośnie pretensjonalne, więc powiedzmy raczej, że starałem się czynić obrazy widzialnymi. Skutki tych usiłowań były różne; czasem zadowolenie, czasem wstyd. Jeśli były to

obrazy harmonii, stawiałem sobie ocenę celującą i zaczynałem od nowa. Harmonia – powiedzmy nawet, że *harmonia mundi* – to wyobrażony ideał, według którego warto sobie organizować życie. Ale to jest zadanie dla nielicznych. Nie dla tych, którzy chcą, mogą, muszą żyć na chybił trafił.

KL: Nie używam przymiotników „magiczny” ani „tajemniczy” wobec Literatury i Sztuki. Co innego przymiotnik „metafizyczny” i rzeczownik „tajemnica”. A propos słów, czy twoje obrazy zawierające inskrypcje, wszelkiego rodzaju semantykę, wątki literackie, były przecuciem rozmachu twojej ekspresji pisarskiej?

HW: W moim dzieciństwie obraz i słowo stanowiły jedność. Nauczyłem się czytać około czwartego roku życia, bo ciekawiły mnie teksty pod obrazkami komiksu, który zawzięcie badałem. Rysowałem i pisałem równocześnie. Czasem bardziej zajmowało mnie to, czasem tamto. I tak już zostało. Z pismem jednak łączyły się pewne tajemnice. W bibliotece mojego dziadka był niezwykle leksykon, pełen rycin i barwnych obrazków. Ale niemiecki, drukowany czcionką frakturową. Należało ją czym prędzej poznać. W szkole mieliśmy język rosyjski i jego egzotyczne bukiety. Obce języki i różne pisma – to mnie zawsze poruszało. Niestety, w trakcie edukacji artystycznej usiłowano nam obrzydzać wszelką „literackość” w obrazie. Nic dziwnego, że wyrosły z tego całe generacje artystycznych półgłówków. W moim odczuciu obraz i słowo zawsze stanowiły jedność. Są języki – na przykład grecki, rosyjski czy chiński – gdzie ten sam czasownik określa pisanie i malowanie. Nawiasem mówiąc, jest zjawiskiem nagminnym, że malarze zabierają się za pisanie, a pisarze z kolei za malowanie. Zastanawiający fenomen. Ktoś się powinien z tego doktoryzować.



Henryk Waniek, Podwójność.

KL: Spotykamy się w tym wywiadzie pod pretekstem tematu „dziedzictwo krajobrazu, krajobraz dziedzictwa”. Ty bardzo wczesnie odkryłeś szczególne możliwości ekspresji jakie daje pejzaż, górski pejzaż Sudetów z Górą Ślężą, krajobraz Karkonoszy, Gór Izerskich i Kotliny Kłodzkiej. Czy aby było odwrotnie i to pejzaż śląski, jego *genius loci*, wybrał cię na swojego odkrywcę, idąc nieco prowokacyjnie tropem metafizycznym?

HW: Już wspominałem o moim „ zaczytaniu się” w krajobrazach i to nie tylko tych ulubionych i wybranych. Właściwie chodzi raczej o „miejsce”, czyli tę część przestrzeni, przez którą człowiek *volens-nolens* określa swą tożsamość, nawet jeśli jest to tylko miejsce wyobrażone, utracone lub porzucone. Miejsce-krajobraz jest immanentną częstką ludzkiego ducha, a duch, wiadomo - *flat ubi vult*. W moim szwendaniu się po górzystym krajobrazie Sudetów jest wiele eskapizmu, są to wyprawy poza nasz świat trywialny i czas bieżący. Innych kuszą antypody, tak jak

mnie kiedyś, dopóki nie zauważyłem, że to wszystko, a nawet więcej, jest tuż-tuż. I jak tu o tym nie pisać?

(...)

KL: Twoja tetralogia eseistyczna: *Hermes w Górach śląskich* (1994), *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257 - 1957* (1996), *Pitagoras na trawie* (1997), *Inny Hermes* (2001), a także twoja powieść *Finis Silesiae* (2003) oraz obrazy, to wszystko krajobraz Śląska. Naturalny, mentalny, duchowy. Krajobraz tej ziemi i twój własny krajobraz wewnętrzny. Jak się zmienia, jak godzi sprzeczności, malarz i pisarz pod wpływem tropienia zagadek tego pejzażu, jego tajemnic bytu, odkrywania tego, co ukryte?

HW: Znowu mnie chyba przeceniasz. Jestem zaledwie kopistą, żeruję na cudzych doświadczeniach, mieszam je ze swoimi, odkrywam jedynie rzeczy jawne. Jestem też zapewne trochę nawiedzony i mam na Śląsku swoje miejsca intymne, ale z tego też nie czynię wielkiej tajemnicy. Nadzwyczajność tego krajobrazu jest w pewnej mierze wzmocniona przez moją emfazę. Tak jak ktoś inny może *ad dies vitae* być zakochany w Wilnie czy Stanisławowie. A miłość zaślepiona widzi coś więcej, jak też czegoś innego w ogóle nie widzi. Tyle, że krajobraz (bardziej niż ostatnia historia) Śląska, przy swoim całym zróżnicowaniu, ma na moją percepcję wpływ scalający. Czuję się mentalnie i duchowo zintegrowany wiedząc, że należę do tej przestrzeni, która od 2000 lat, a pewnie dłużej, w prawie niezmiennym kształcie geograficznym trwa, upada i odżywa w paśmie między Odrą a Sudetami.

KL: A co możesz powiedzieć o krajobrazie Rzeszowa, Podkarpacia? Czy, poza Beksińskim, miałeś lub masz ważne związki z tym miejscem? Wizualne, pisarskie, duchowe, towarzyskie?

HW: To chyba w roku 1955 pierwszy raz w życiu spędziłem okrągły miesiąc w Jaśle na obozie artystycznym młodzieży śląskiej. Jasło było bardzo zniszczone, ale Krosno, Glinnik Mariampolski, Jedlicze, Gorlice - wszystko to i inne miejsca, których już nie pamiętam, dokładnie spenetrowaliśmy. Zabawne, ale właśnie wtedy w Jaśle zacząłem myśleć o fachu malarskim. W latach późniejszych doszły Bieszczady z ich tragiczną pustką. Także Jarosław ze swoim legendarnym Liceum Plastycznym, gdzie miałem wielu kolegów. Nie przeoczyłem też Przemyśla i mogę powiedzieć, że - choć to dla

mnie były geograficzne antypody - czułem magnetyzm tych okolic. Z końcem lat 60., gdy zaczęła się nasza komitywa ze Zdzisławem Beksińskim, Sanok stał się miejscem regularnych pielgrzymek. I ostatecznie - choć Beksiński umknął stamtąd, odwrotnie niż jego syn Tomek, który psychicznie nigdy Sanoka nie opuścił - to miejsce pozostaje dla mnie ciągle symbolem o wielkim ciężarze. Czuję to również poprzez sentyment do poezji Janusza Szubera, ale też mnóstwa osób, które Sanokowi wystawiają znakomite świadectwo. Nie muszę dodawać, jak wysoko cenię pisarstwo Mariana Pankowskiego z Sanoka.

Byłem jedną z dwóch osób, które w sierpniu 1968 odprowadzało do pociągu udającego się na emigrację Kalmana Segala, sanoczanina, który od wczesnych lat powojennych ubarwiał dość mizerne życie literackie Katowic. Nie będzie to czystą kurtuazją, jeśli powiem, że znając ten region dość powierzchownie, wyczuwam pewne jego pokrewieństwo ze Śląskiem już to przez podobny krajobraz, już to przez kulturową i etniczną złożoność. Może szkoda, że archiwum emigracyjnego pisarza ze Śląska, Jana Darowskiego, ostatecznie trafiło do Uniwersytetu Rzeszowskiego a nie do Katowic, ale nie wyobrażam sobie by tą spuścizną zajęli się tam równie czule i troskliwie, jak się to stało w Rzeszowie, cenionym zresztą przez innego Ślązaka, poetę i tłumacza mieszkającego w Toronto, Floriana Śmieję. W każdym razie już wielokrotnie miałem okazję stwierdzić, że w Rzeszowie czuję się dobrze.

[1] Katalog wystawy: H. Waniek, *Obrazy utracone, obrazy odzyskane*.

**Wokół literackiej spuścizny
Krasickich.**



Pałac Krasickich w Dubiecku.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

*O miejsce słodkie, gdzie się urodziłem
W tobie los zrzędził pierwszy życia wątek.
Wyszedłem na świat, co zdarza użyłem
A czas długiego wśród ludzi przebycia
To działał: gdyby się można było odrodzić.
Lepiej by było z ciebie nie wychodzić.*

Ignacy Krasicki, biskup Warmiński o rodzinnym Dubiecku

Amor patriae nostra lex – zawołanie z Siecina Krasickich herbu Rogala przyświecało rodzinie przez pokolenia, zarówno poprzez służbę wojskową, sprawowanie wysokich urzędów jak i działalność literacką, pielęgnowanie tradycji i kultury polskiej. Tworzyli jedną z gałęzi Rogalów Siecińskich na Sieciniu i Murzynowie, w Ziemi Dobrzyńskiej, nad Skrwą i Wisłą. Przyjęli nazwisko z Siecina Krasickich od

miejsowości Krasice, koło Przemyśla, gdzie osiadli w 1542 roku. W 1580 r. Stanisław Krasicki, kasztelan przemyski i ochmistrz dworu królowej nabył Dubiecko. W 1717 r. właścicielem majątku został Jan Boży Krasicki, kasztelan chełmski, ożeniony z Anną ze Starzechowskich h. Nieczuja. Mieli oni siedmioro dzieci. Jednym z nich był późniejszy „Książę Poetów”. Ignacy Krasicki spędził w Dubiecku pierwsze lata dzieciństwa, a następnie będąc w szkole jezuickiej i seminarium przyjeżdżał tu na wakacje. *O miejsce słodkie, gdzie się urodziłem, w Tobie los zrządził pierwszy wątek życia* - napisał potem w jednym z liryków o miejscu swojego dzieciństwa. W 1762 r. Anna Krasicka dokonała podziału majątku. Ignacy otrzymał 4 000 zł renty oraz *dla wygody cały na gurze w Pałacyku Apartament y dla ludzi w Bramie izby*.



Per Krafft. Portret Ignacego Krasickiego.

W 1771 r. Ignacy Krasicki odsprzedał swoją część majątku bratu Antoniemu. Nie zerwał więzów z rodzinnym gniazdem i często tu przyjeżdżał. W 1799 roku Xawery z Siecina Krasicki, bratanek Biskupa, poślubił Julię z Ossolińskich i tym sposobem pięknie położony nad rzeką San zamek w Lesku wszedł w posiadanie rodziny Krasickich. Te dwie spokrewnione gałęzie dubiecka i leska przez wiele lat utrzymywały ścisłe kontakty. Po śmierci Antoniego (1800) Dubiecko przeszło w ręce najstarszego syna Macieja. Ten ożenił się ze słynną piękną Teofilą Stadnicką. Życie na Dubieckim zamku płynęło wtedy spokojnie, pełne jeszcze żywych wspomnień po biskupie warmińskim. Utrzymywano liczne kontakty z właścicielami sąsiednich majątków Morskimi z Zarzecza, Dembińskimi z Niedajdowej, Lubomirskimi z Przeworska.

Po śmierci Macieja Krasickiego (1855) właścicielem Dubiecka został jego młodszy syn Aleksander. Był on poetą, heraldykiem i znawcą historii polskich rodzin. Sam pisał wierszem i prozą, podejmował tematy historyczne i heraldyczne, drukował je w *Czasie*, *Gazecie Lwowskiej*, *Nowinach Lwowskich*, *Dzienniku Literackim* oraz *Albumie Rapperswillskim*, podpisując się „A....z S...K...”. Opublikował również 7 listów Ignacego Krasickiego zaopatrując je komentarzem. (Niestety kilka z nich podarował przyjaciołom). Utrzymywał przyjazne stosunki z wieloma przedstawicielami świata literackiego, a przede wszystkim z poetą - lirykiem i gawędziarzem Wincentym Polem, zaprzyjaźnionym również z Krasickimi z Leska. Najdłuższy pobyt poety na zamku dubieckim przypadł na wiosnę 1835 roku. Gdy poznał tradycje rodu, oraz legendy i opowieści z czasów Księcia Poetów przekazywane głównie przez Eleonorę Krasicką, bratanicę Biskupa napisał *Pamiętniki Imć Pana Benedykta Winnickiego*. Stały kontakt z Dubieckiem utrzymywali też Józef Ignacy Kraszewski i Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), która w dowód wdzięczności za stałą korespondencję i zachętę do pracy literackiej ofiarowała Aleksandrowi Krasickiemu jeden z pierwszych egzemplarzy poematu *Lech*. Częsty kontakt z rodziną Krasickich miał także powieściopisarz, piewca ziemi sanockiej Zygmunt Kaczkowski. Sąsiadująca z Dubieckiem Nienadowa była w posiadaniu rodziny Dembińskich. Spędził tam część swojego dzieciństwa spokrewniony z Dembińskimi Aleksander Fredro.

Po Aleksandrze Krasickim dziedziczką majątku została najstarsza córka, Aleksandra, która w 1851 roku wyszła za mąż za Franciszka Ksawerego Konarskiego.



Pałac Krasickich w Dubiecku, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Aleksandra podtrzymywała rodzinne tradycje, pisała wiersze zamieszczane w *Czasie* i *Ruchu Literackim*, zapraszała do Dubiecka poetów, literatów, ludzi sztuki i kultury. Była miłośniczką talentu Z. Kaczkowskiego i Teofila Lenartowicza.

Następny właściciel majątku Stanisław Konarski wydał w roku 1898 *Dyariusz z Heilsberga od roku 1790-1792*. Jest to szczegółowy opis życia na zamku w Lidzbarku, pisany przez sekretarza biskupa Krasickiego, ks. Michała Foxa, który *Dyariusz* ten przeznaczył dla zamieszkałej wówczas w Dubiecku córki brata Antoniego, Anny Charczewskiej. Po Stanisławie majątek odziedziczył syn, również Stanisław (zm.1929). Ostatnia pani na Dubiecku Izabela Konarska, córka Stanisława zapisała zamek Michałowi z Siecina Krasickiemu, ur. w 1925 r. Michał został jednak uprowadzony przez Ukraińców w 1944 r. i przepadł bez wieści w Mielnowie k. Krasic pod Przemyślem.



Muzeum w Dubiecku.

Bogate pod względem literackim życie zarówno Dubiecka jak i Leska pozostawiło liczne ślady. Pamiątki po „Księżu Poetów” przez wiele lat były przechowywane w Dubiecku z wielkim pietyzmem. Był to: zbiór korespondencji, szereg rękopisów poety, kilka portretów, w tym portret 15-to letniego Ignacego pędzla Mierisa. Pamiątki te wraz z archiwum Krasickich zostały ok. 1900 r. przeniesione na zamek w Lesku. Inna cenna część spuścizny Krasickich to zbiór listów oddanych do archiwum leskiego w 1929 r. przez Marię z hr Fredrów Szembekową z Siemianic, wnuczkę Aleksandra Fredry.

Po wojnie archiwum leskie zostało przekazane do Archiwum Państwowego w Przemyślu.

Czasy komuny nie sprzyjały cennym archiwaliom. Pozostała w Polsce rodzina z Siecina Krasickich przez wiele lat nie miała dostępu do swojego archiwum. Xawery z Siecina Krasicki, zamieszkały w Warszawie, syn Augusta Konstantego, autora *Dziennika kampanii rosyjskiej 1914-1916* (Lwów 1934), w liście do mnie z dnia 13.06.1988 roku pisze:

Wiadomości, które od Pani otrzymałem są wprost sensacyjne, bo jest Pani pierwszą osobą, która dotarła do naszego rodzinnego archiwum w Przemyślu – właściwie zabranego nam całkowicie bezprawnie! Jediną wiadomością jaką miałem o tym zbiorze dokumentów, była smutna notatka w „Życiu Warszawy” z 2.03.1971 r. :

12 lipca 1970 r. na przejściu granicznym z Zgorzelcu w samochodzie obywatela fińskiego J.V. Maniette znaleziono kilkadziesiąt dzieł sztuki i wartościowych starych dokumentów...m.in. kilka listów z poł. ubiegłego w. należących do rodziny Krasickich. Jak wykazało dochodzenie listy te i dokumenty królewskie zostały uprzednio skradzione z Państwowego Archiwum w Przemyślu przez pracowników tej placówki.

W spisie listów i dokumentów wchodzących w skład archiwum Krasickich, a znajdujących się wówczas w Archiwum Państwowym w Przemyślu znajdowały się m.in. tak cenne materiały jak:

Listy z Heilsberga Ignacego i Ksawerego Krasickich do rodziny z lat 1773-1792, listy różne do Edmunda Krasickiego z lat 1824-1884 (Aleksander Fredro, Agenor Gołuchowski, Stanisław Koźmian, Józef Lompa, Julian Konstantyn Ordon, Rodakowski, Karol Szajnocha...itd), listy Wincentego Pola do Ksawerego i Edmunda Krasickich z lat 1837-1872, listy Zygmunta Kaczkowskiego do Edmunda Krasickiego z lat 1850-1887 (niektóre z listów Kaczkowskiego i Edmunda Krasickiego, zostały ogłoszone przez Krechowieckiego), wydarzenia polityczne: papiery współczesne dotyczące konfederacji barskiej 1768-1791, fragment pamiętnika Edmunda Krasickiego z 1831 roku,

Listy dotyczące Aleksandra Fredry i rodziny oddane przez Marię Szembekową znajdowały się w osobnym fascykule nr 248/V.

Literackie ślady można też znaleźć w księgozbiorze Krasickich. Dotyczy to nie tylko zawartości biblioteki świadczącej o zainteresowaniach poszczególnych członków rodziny, ale przede wszystkim bogatej proveniencji i cennych marginaliów.



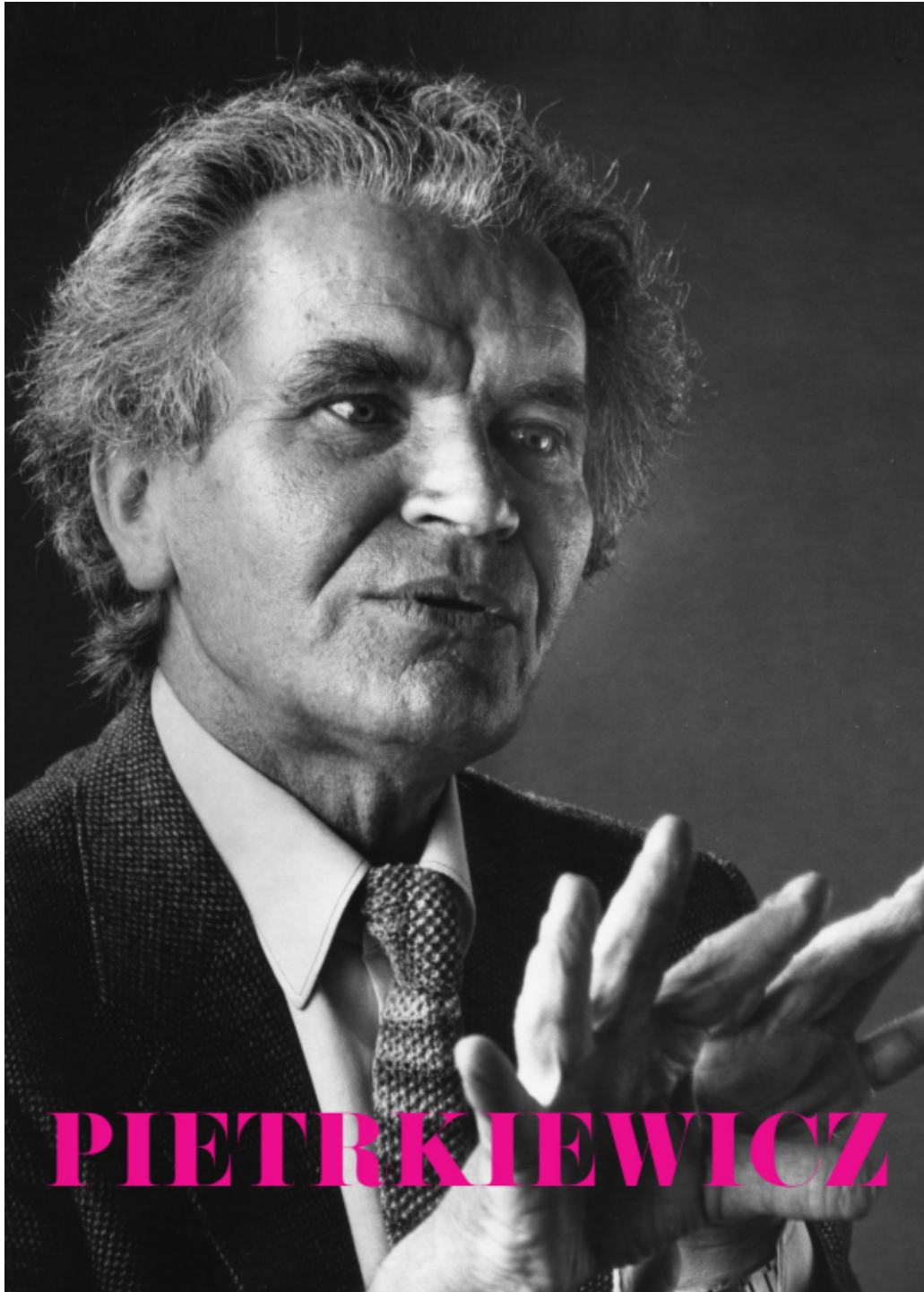
Salon w Pałacu Krasickich w Dubiecku, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Po wojnie w Dubiecku i Lesku pozostał księgozbiór w dużej części zdekompletowany i rozproszony. W 1946 roku księgozbiór Krasickich z Leska trafił do biblioteki Muzeum Historycznego w Sanoku. Jest to przede wszystkim XVIII-to i XIX-to wieczna literatura piękna w języku polskim, niemieckim i francuskim, ale także czasopisma, pośród których jest m.in. *Przegląd Polski* wychodzący w Krakowie w latach 1866-1913 i *Przewodnik Naukowy i Literacki* wydawany we Lwowie w latach 1877-1919. Część księgozbioru dubieckiego przez przypadek trafiła do biblioteki Muzeum Zamku w Łańcucie w poł. lat 80-tych. Najcenniejszym egzemplarzem w „skrzyni z Dubiecka”, która do Łańcuta trafiła zamiast lustra, jest pięknie wydany XVIII-to wieczny słownik francusko-łacińsko-włoski z podpisem „Księcia Poetów”. Z I poł. XIX w. pochodzi najwięcej pozycji. Jest tu literatura piękna: dramaty Schillera, Szekspira, cykl dramatu angielskiego, utwory popularnych autorów komedii. Są także tomiki poezji, beletrystyka francuska, powieści Waltera Scotta, dzieła zebrane Coopera oraz pamiętniki Napoleona i pani George Sand. Jest także poezja o charakterze encyklopedycznym, cykl podróży dookoła świata, dzieła historyczne, polityczne i religijne. Liczna proveniencja wskazuje kolejnych właścicieli. Na

kartach tytułowych widnieją podpisy „comte Krasicki - Dubiecko”, „Teofila Krasicka”, dedykacje od Magdaleny Morskiej z Zarzecza czy Dembińskich z Nienadowej. W zapomnianej do niedawna skrzyni znajdowały się też książki z podpisami Konarskich, np. „Historia Juliusza Cezara” czy „Sekrety Napoleona Bonaparte”. Z tego okresu, czyli II poł. XIX w. pochodzi kilka tomików poezji, powieści francuskie, tzw. nowoczesne biografie, przygody Robinsona Crusoe itd.

Literackie ślady znajdujące się w archiwum Krasickich, czy w zapomnianych księgozbiorach do tej pory nie doczekały się pełnego, monograficznego opracowania. W roku akademickim 1998/99 w Instytucie Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu powstała praca magisterska Waldemara Soleckiego pt. *Archiwa Krasickich herbu Rogala*, napisana pod kierunkiem prof. B. Ryszewskiego. W przewodniku *Archiwa Państwowe w Polsce*, rozdział 4, Michał Proksa. *Archiwa rodowe w zasobie Archiwum Państwowego w Przemyślu. Archiwum zamku leskiego Krasickich*, autor tylko w ogólny sposób zaznacza zawartość cennych zbiorów. Nikt jednak nie zajął się literackim aspektem tych archiwaliów, jako źródła cennych informacji ilustrujących dzieje naszej literatury.

Refleksje z korespondencji z Jerzym Pietrkiewiczem



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Archiwum Emigracji.

Florian Śmieja

Jerzego Pietrkiewicza poznałem w czytelni British Museum w Londynie w 1946 roku w czasie urlopu ze szkockiego obozu. Cztery lata później w latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w Szkole Nauk Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego.

Potem rozeszły się nasze drogi. Ze szczupłej naszej korespondencji zachowało się kilkanaście listów i pocztówek, kilka zaginęło po nadaniu na poczcie w Sandomierzu.

Z nastaniem komputerów komunikacja stała się łatwiejsza, tańsza i szybsza. Ale korespondencja przedtem osobista i prywatna, stała się obojętna, bezbarwna, a właściwie nietrwała i ulotna. Niewiele z niej ocaleje.

Dlatego z nostalgią oglądamy listy z dawnych lat, ze staroświeckiej ery pisania odręcznego. W zapomnianej teczce znalazłem te ocalałe listy i widokówki od Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), poety i pisarza, wykładowcy polonistyki na Uniwersytecie Londyńskim.

Biorę do rąk i czytam najstarsze pismo z 1954 roku. Pietrkiewicz zaczął wtedy pisać serię powieści w języku angielskim. Z listu wynika, że mój korespondent przeczytał artykuł, moją recenzję jego książki i dziękuje mi za *ujęcie rzeczy całej, która pokazuje powieść poprzez poezję i dwa pokłady językowe*. Natomiast do dalszej mojej narracji Pietrkiewicz-kokiet ustosunkował się przewrotnie.

Wspomniał Pan następną powieść (gdyby to zdanie ukazało się kilka tygodni temu, moja przesądna natura przeżyłaby kryzys). Tak, rzecz ta ukaże się na wiosnę, ale - błagam - niech Pan nikomu o tym nie opowiada, bo demony dobrzyńskie zmówią się, pokręcą korektę, zamażą okładkę, zjedzą ewentualne honoraria.

Chciałbym, żeby druk tej powieści był niespodzianką. Będzie niespodzianką i dla Drogiego Pana (niech Pan nigdy nie ufa autorom, kiedy szepczą o swych planach literackich - bo łgają (sic! FS) i zamazują ślady - tak, tak...), Czymże byłoby pisanie bez łgarstwa, prawda? - tylko prawdą, a to nie idzie w parze z fikcją. Przekazuję ten sekret w dobre ręce i niech co rozjaśniłem, zaciemnię. I ani pary z ust...

Jeszcze raz dziękuję za piękny artykuł (pochlebny dla mnie - ale próżność poetycka mile pogłaskana). To, co Pan napisał, najlepiej podsumowało to wszystko, dobrze więc, że wydrukowano właśnie teraz, z opóźnieniem.

Następnie otrzymałem jakieś wycinki z „Wiadomości” Grydzewskiego wraz z oficjalną kartką z papeterii Szkoły Nauk Słowiańskich datowaną 15.X.1964 roku.

Załączam wycinek o Szewczyku (z 1946!) - może Pan go przekazać Szewczykowi, jeżeli Pan zechce. Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował, a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta. Tak, chciałbym bardzo przeczytać coś Pańskiego o nim. Szukając owej recenzji, natrafiłem na moją odpowiedź w ankiecie z 1948 r.,co jako curiosum Panu daję do teczki. W tych polskich „dark ages” jakąś tam świeczkę nosiłem . P.S. Jeśli Pan zdobył „Wiadomości”, to wycinek Szymona także dla Wilhelma Sz. Jeśli nie - naturalnie dla Pana.

Z mojego zaproszenia w 1966 roku, by Pietrkiewiczowie (oboje byli na naszym ślubie w Londynie w 1954 roku), przyjechali w odwiedziny do Nottingham, do którego się przenieśli, nie skorzystali. Pietrkiewicz tłumaczył, że jego żona, Christine, miała akurat dużo zajęć w BBC.

Odpowiadając na niepamiętaną dzisiaj moją kwerendę kwestionującą jego określenie odpowiedział:

Wie Pan, że jednak „erotic-sonnet”- na tym polega dowcip cytatu viz. Petrarka i damy serca. Ile tam złości i żółci. Nawet idealizujący krytycy przyznają, że „I ten wiersz wraz mi stwardniał(!) bliższe Freudowi niż Beatrice. Pogadamy przy okazji o tym i o „cobble” (realizm szczegółu, zawsze u C.K.Norwida) - tylko niech zacny Florian się pojawi na londyńskim bruku.

Otrzymałem też wtedy nadbitkę artykułu Pietrkiewicza z czasopisma „Eos” na temat tradycji schadzek o świcie. Wśród przykładów polskich, Pietrkiewicz zacytował trzy pieśni anonimowe ze Śląska Cieszyńskiego z dopiskiem „Ślązakowi śląskie anonimy polecam”.

Z upływem czasu zażyłość i przyjaźń nasza rosła. W 1996 pocztówka z Alhambrą zaczynała się

Florku-Florianie, sercu memu miły, jeśli nie miałeś dowodu na synchronicity - to teraz masz. Dzień przed Twoim listem, dotarł też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał, że chodziliście do tej samej sztuby w Tarnowskich

Górach, no i obdarzył cię, że byłeś moim uczniem. Czy zasługuję na tytuł doradcy-guru? Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz, stąd moje zaufanie do Ciebie, niezmiennie. A Miodek zrobił ze mną chyba najlepszy program dla TV – rozmowę o literaturze. Także osoba budząca szacunek i zaufanie. Arriba Silesia.

Kiedy przeniosłem się do Kanady, Pietrkiewicz odwiedził mnie tam w 1977 roku, dał wykład na moim uniwersytecie i spotkał się z lokalną Polonią w London, Ontario.

Z Ottawy napisał dzięki serdeczne za gościnność i miłą atmosferę na uniwersytecie Twoim, w domu i w Klubie. A przede wszystkim cieszę się, żeśmy pogadali po latach i że zobaczyłem Cię w gronie rodzinnym, z Zosią i dziećmi. Nakarmiony, oprany wróciłem do Montrealu. Dowcipnie dodał: Miło było zobaczyć Twoją gębę i aurę i humor zanim nie pomrzemy.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wracać do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem, przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny”. Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół tak przepelniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80-lecie, a od planowanych celebracji uciekałem – gdzie- do Alhambry...

I znowu zapraszał mnie do swojego domku andaluzyjskiego, którego fotografie słał z dumą. W styczniu 1998 chwalił się:

przez drzwi widać mimozę – wszystko już kwitnie – i migdałowe drzewa i aloesy, które kochał Słowacki... Jadę 25 km do restauracji przez pola trzciny cukrowej, które ongiś należały do ojca Lorki (jak wiesz, był bogaty, miał samochód i szofera).

...Jako Ci mówiłem, przyjaźniłem się z poetami śląskimi z Szewczykiem na czele. Ale ja już wolę być in statu contemplationis...

W innym liście z tegoż roku kwitował mój

co za ładna i wzruszająca niespodzianka dostać list z życzeniami od Ciebie właśnie tutaj. Po tych latach potwierdzenie tego, co nas łączy ma szczególny sens, coś z istoty życia.

Jak to dobrze, że wszedłeś w Hispanidad wkrótce po Irlandii. Coraz szersze widnokreśli. Gdybyś tego nie zaznał, nie przeżył w sobie, byłbyś może skwaszony i zły na siebie, jak wielu emigrantów (choć to już luźny termin) jest teraz w swoim zachodzie słońca. Załączam kilka stronik ze „Sycyny”, którą redaguje Myśliwski, według mnie naprawdę oryginalny powieściopisarz w Kraju i mądry człowiek.

Pytałem Jerzego o losy jego angielskich publikacji.

Z tłumaczeniami w Polsce nie jest dobrze, bo nie potrafią znaleźć stylu dla takich książek typu „The Third Adam” czy „The Other Side of Silence”. Ktoś próbował „The Other Side” ale uląkł się biedak, choć to, co piszę, nie ma zawijasów czy innych zaciemnień semantycznych. Poczekam – czy doczekam? San Miguel sabe.

W roku 1999 na pocztówce pisał:

Drogi Florianie (ten Twój Święty był niemal spolonizowany już za Piastów) dzięki za pamięć – bo i Ty już w senioracie tych, co doczekali – a doczekanie to prezent od naszego ciała. Jeździsz, fruwasz, pływasz – un caballero viajero – geny śląskie widać mają geologię swoistą.

Dziękuj, kiedy śpiewasz: „Kiedy ranne wstają zorze”. Dziś wstały czerwone jakby buraki pękły na chmurach.

Często donosił z radością o nowych publikacjach i wspólnych znajomych.

Wyszły trzy sztuki Gombrowicza w jednym tomie dla angloyankesów z moim

esejem, który nieźle się czyta po latach.

A nasz Noel Clark (który mile wspomina Twoją pomoc przy wydaniu angielskiej wersji Raclawic) słusznie został odznaczony „zasłużony dla kultury polskiej” w ambasadzie, przyjacioły się zeszyły. Odznaczono także siwiutkiego gołąbka Jasnowskiego, zdumiony byłem, że żyje jeszcze, chyba go pamiętasz z zamierzchłych czasów.

Kartka z fotografią uroczego zakątka andaluzyjskiego ogrodu pochodzi z 2000 roku. :

Drogi Florianie, obłapiam milenijnie i Ciebie i ród Florianowy (a Fabian, jak wiesz, dzielił obowiązki patrona Polski z Florianem, póki nie wysłał w męczeństwo św. Stanisława Bolko nazbyt śmiały)...

Należymy do tej jedynej emigracji wojennej, Ty, Floreczku, jako junak. Reszta to dodatki – płatki, co wylatują z młocki historii.

Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”. „Piątry poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak się ładnie wokół mnie zamykają.

Pod koniec wydarzyła nam się dziwna rzecz. Otóż w 2000 roku na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu zorganizowano konferencję naukową: „Jerzy Pietrkiewicz - inna wersja emigracji”. Zgłosiłem swój udział, napisałem artykuł „Ten trójkąt europejski w moim życiu” i pojechałem. Pod koniec pojawił się oczekiwany bohater konferencji. Po sesji zaczął podpisywać gotową już książkę materiałów konferencyjnych. Kiedy zbliżyłem się do Jerzego, ten mnie nie poznał. Ogromnie się speszył. Napisał:

...jak gapa zmęczona, nie rozpoznałem ani Twojej twarzy, ani głosu. No ale sporo lat upłynęło od ostatniego w Londynie spotkania. Taka ekskuza, ale słaba. Rzekę

*tedy: Espera, siempre espera, ya pasará la noche oscura de su memoria cansada.
Amen.*

Potem powtórzył:

Cieszę się, że byłeś na konferencji – to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat – Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają. Dzieciaki ze szkół Ziemi Dobrzyńskiej witają mnie jakbym był sportowcem z drużyny nieprzegranego czasu.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji. *Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.*

Na fotografii ze swojego domu "El nido oculto" pod Granadą objaśniał:

Spójrz na tę fotografię z kołem życia: nosiłem – zwoziłem te białe kamienie (ujście podziemnej rzeki, prosto z gór).

(Na późniejszej fotografii z 2002 r. dodał *Symbol oculto* wedle nazwy domu. *Podczas pełni księżyca koło się kręci.*)

A dom zaprojektowałem razem z architektem tamtejszym, pomysły moje wprowadziłem w życie, ale powoli – tak jak wyszukiwanie mebli, antycznych drobiazgów. Jak się zjawisz kiedyś, zobaczysz...

Cieszyła go duża pokonferencyjna książka z Torunia.

Ciekaw jestem , jak odbierasz błękitną księgę. Pierwsze sześć esejów tworzy ciągłość, zgadzam się, że locum i logos to oryginalna interpretacja tekstów. No i Moczkodan dobry, a Supruniuk zna tyle faktów. Ten, co pisze o nowelach („Umarli nie są bezbronni”) nic nie wie, że były pisane dla Światpolu (agencji dla prasy amerykańskiej) dlatego, że minister emigracyjny nie pozwolił British Council, abym dostał przyznane mi stypendium i musiałem dorabiać nowelami na

zamówienie - taki los mój w pierwszym roku w St Andrews.

W książce jest sporo błędów korekty - będzie errata dla bibliotek. Ale sama rzecz: zbiór esejów i sponsorzy doceniający wagę pracy dla ziemi dobrzyńskiej, dla jej kultury - raduje serce i myśli moje, właśnie w tej fazie mojego życia.

Tak, Drogi Florku, znamy się już od tak dawna: przyjaźń otwiera pamięć, chroni ją i przesuwa w inny wymiar.

Bodaj w ostatnim liście w moim posiadaniu z 5 grudnia 2004 roku Pietrkiewicz powiada:

Dobłą drogę wybrałeś - i akademicką i rodzinną. Nie będziesz miał do siebie pretensji, a to cenne. Książkę o Kontynencikach (sic! FS) przejrzałem i napisałem dłuższy list do autorki. Co z nich zostanie? Jest angielska fraza „the body of work”, to znaczy, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić. Jak miotła potraktowała Młodą Polskę, albo nieudolny u nas „futuryzm”? The „Body” na śmietnik. Warto podumać nad tym.

To Niemojowski opracował antologię - pokazał mi ją na krótko przed Odejściem. Czaykowski ją popsuł. (Na temat tej antologii pisał Pietrkiewicz także na pocztówce z 2002 r. Sądzę, że były to różne antologie).

Moje zdrowie, jak dwie szale. Ale ziemia dobrzyńska rozumie wagę tego, co zrobiłem. „Sójka” moja dalej fascynuje dzieci. Są już tacy, co znają mój bestseller na pamięć.

Pewnie gdzieś- kiedyś spotkamy się. Pozdrów całą rodzinę, to ich zdrowie daje Tobie energię.

„Carcanet Press” wydała mojego Norwida (Poems-Letters-Drawings), sto stron w ich „Poetry Pleiade” a więc Norwid dla Świata.

Jerzy Pietrkiewicz

Wybitny poeta, prozaik i tłumacz (autor m.in. świetnych przekładów poezji Karola Wojtyły na angielski), ur. 29 września 1916 r. we wsi Fabianki (Ziemia Dobrzyńska) w rodzinie chłopskiej. Ukończył gimnazjum im. Długosza we Włocławku, studiował w Warszawie, był związany z grupą pisarzy ze wsi, tzw. autentystów, skupionych wokół „Okolicy Poetów”, współpracował z tygodnikiem „Prosto z Mostu”, który drukował w sześciu numerach jego poemat *Prowincja, dokument autentyzmu* - 1935.

Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Francję do bombardowanego Londynu. Niezdolny do służby wojskowej, ukończył najstarszy szkocki uniwersytet w St. Andrews; doktorat z anglistyki uzyskał w Londynie (Kings College, 1947), przez wiele lat był profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim.

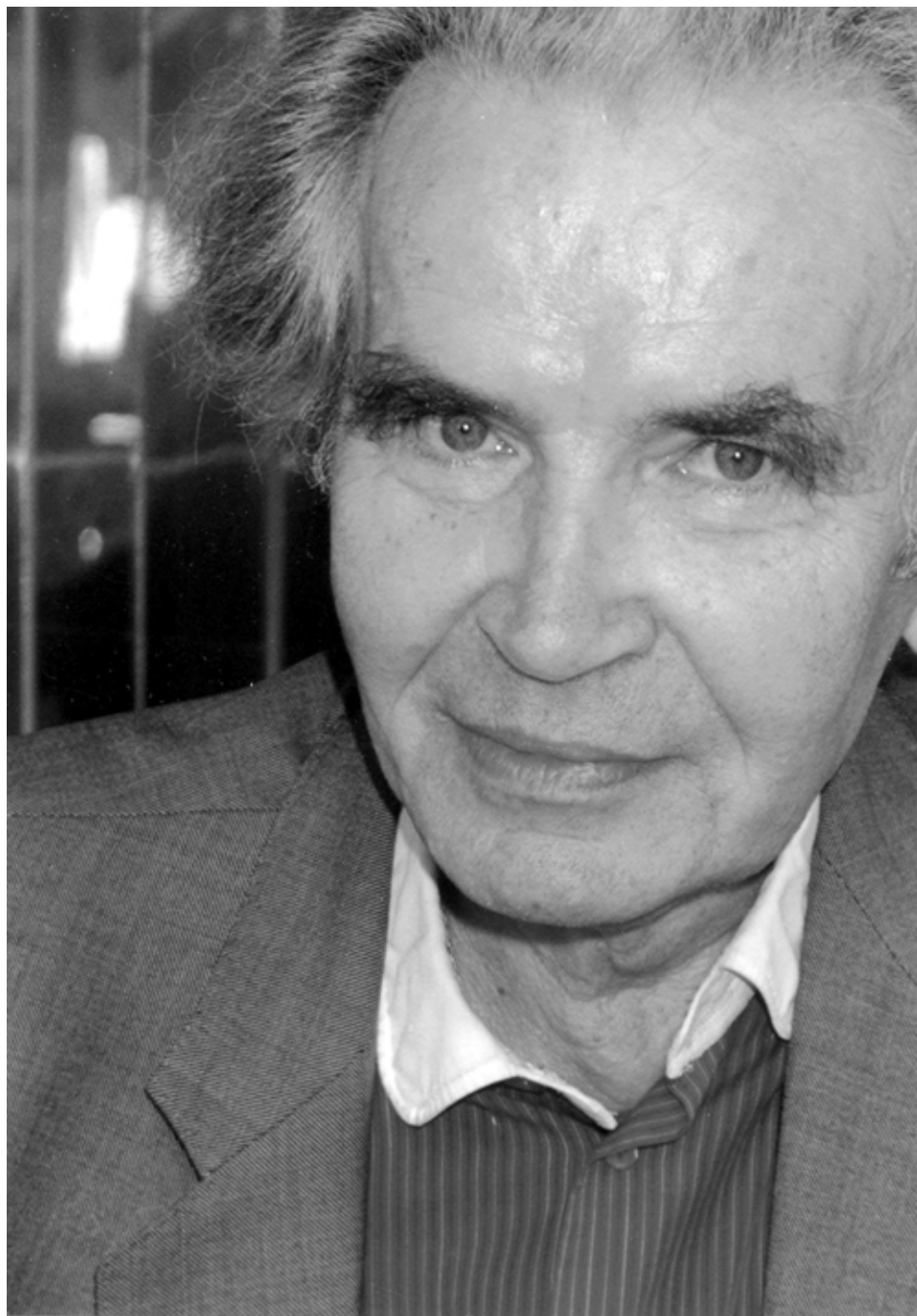
Od roku 1953 jest także autorem angielskim: jako Peterkiewicz napisał osiem powieści (m.in. *The Knotted Cord, Future to Let* - 1958, *Isolation, Inner Circle* - 1966), które spotkały się z bardzo dużym uznaniem krytyki. Opublikował dwie antologie, poezji polskiej i angielskiej, we własnym przekładzie, monografię *The Third Adam*, studium o poetach „u krańców mowy”, *The Other Side of Silence* - 1970, oraz autobiografię *In the Scales of Fate* - 1993.

Dopiero po 1980 r. zaczęły się niektóre książki Peterkiewicza ukazywać w Polsce; przedtem był systematycznie przemilczany. Za to brytyjskie *Who's Who*, sprawdzian życiowego sukcesu, odnotowuje trzydzieści publikacji Jerzego Peterkiewicza.

Zmarł w Londynie w 2007 r.

**Arriba Silesia. Wspomnienie
o Jerzym Pietrkiewiczu**

(1916-2007).



Jerzy Pietrkiewicz

Florian Śmieja

Przed wybuchem wojny w 1939 roku wydał zaledwie trzy zbiory poezji lecz to wystarczyło, by stał się w ciągu kilku lat bożyszczem młodzieży polskiej i głośnym

poetą wsi spod znaku autentyzmu rozumianego jako dawanie świadectwa prawdzie przeszłości.

Wszelkie ówczesne plany pokrzyżowała wojna.

Po euforii młodzięcych sukcesów literackich, Jerzy Pietrkiewicz przez Rumunię i Francję poszedł na emigrację. Znalazłszy się w Wielkiej Brytanii boleśnie odczuł nie tylko tragedię swojej ojczyzny, ale również grząskość ideologicznych pól, na które się wmanewrował. Klęska, tułactwo, zbędność w nowej sytuacji, nieprzydatność w wojsku, spowodowały jego wycofanie się w samotnictwo. Człowiek dotknięty tylu naraz niepowodzeniami, mógł być po prostu załamany, lizać rany i pogodzić się z wegetowaniem na bocznym torze.

Jednak to nagłe strącenie ze świecznika w odosobnienie dało mu dystans dla kontemplacji dramatu świata, który go nie potrzebował, umożliwił natomiast przemyślenie psychicznej sytuacji, pozwolił wyciągnąć wnioski ze stawianych prognoz. Pocieszał się myślą, że przyszłość odkryje to, co choć słabe, można ocalić a pewien był, że doceni go jego mała ojczyzna że *Ziemia Dobrzyńska rozumie wagność tego co zrobiłem.*

Oto znalazł się niespodziewanie wśród innych uchodźców w obcym kraju w nieznanym mu społeczeństwie, postanowił więc najpierw gruntownie poznać jego język. Dostał się na studia anglistyki na jeden z czcigodnych uniwersytetów szkockich w St. Andrews nad Morzem Północnym. Tam wśród młodzieży ubranej w efektowne, czerwone togi studenckie przygotowywał się do przyszłej roli pedagoga, którą miał przez kilkadziesiąt lat pełnić w Londynie ku chwale swojej profesji i dla dobra postradanej ojczyzny. Po obronieniu doktoratu na King's College w Londynie, uzyskał lektorat języka polskiego u profesora Williama Rose'a, następcy wielkich polonistów Juliana Krzyżanowskiego i Wacława Borowego.

Po powrocie profesora Rose'a do Kanady, jego stanowisko wykładowcy literatury polskiej ofiarowano młodemu Pietrkiewiczowi. Obiął je z wielkim poczuciem wagi eksponowanej pozycji w centrum świata anglosaskiego. Był świadomy obowiązku oferowania studentom świeżego i atrakcyjnego obrazu polskiej kultury, zwalczania niedobrych stereotypów z nią kojarzonych, wykorzystania nabytych na uczelniach brytyjskich doświadczeń i metod. Odciął się od staromodnych, słabą angielszczyzną

wierszowanych, ale tradycją uświęconych romantyków i śmiało sięgnął po skarby rzadko docenione wydobywając zdziwionym studentom wartości nie spodziewane. Przemysłnie dobieraną lekturę eksponował pisząc wnikliwe szkice, które po latach złożyły się na intrygujący tom pięknych prezentacji literatury polskiej. W ten sposób wyodrębnione zostały m.in. „Treny” Kochanowskiego, jako wyjątkowej wartości wczesny pomnik poezji słowiańskiej, „Pamiętniki” Paska, poezja religijna Zbigniewa Morsztyna, „Pałuba” Irzykowskiego, „Sól ziemi” Józefa Wittlina i poezja Norwida.

Tak oryginalnie prezentowana literatura polska była chwytna i atrakcyjna. Pietrkiewicz umiał nie tylko zainteresować, ale i oczarować okazując się znakomitym nauczycielem i pośrednikiem, stał się jednym ze znaczących światła, które w neuralgicznych punktach świata potrafiły rozniecić poważne zainteresowanie polską kulturą, podobnie jak to robili Lednicki, Terlecki, a później Miłosz w Stanach Zjednoczonych. Tak jak oni, wychował zastęp ludzi gotowych nieść pochodnię, przygotował doskonałych tłumaczy. Pokazał zasadność obsadzania nielicznych placówek naukowych na Zachodzie jednostkami wyjątkowymi, które zostawiają znaczący ślad swojej osobowości.

Po uzyskaniu doktoratu i zapewnieniu sobie stałego stanowiska wykładowcy na Uniwersytecie Londyńskim, Pietrkiewicz ustabilizował sobie życie zwiąawszy się z Christine Brooke Rose, wybijającą się anglistką i pisarką. Mając takie oparcie, pokusił się o przejście na język angielski. Pamiętam, kiedy wydając powieść „The Knotted Cord”, oświadczył mi, że od tego momentu stał się pisarzem angielskim. Zaczął znamieny epizod pisania powieści w języku przybranym. I tak powstało osiem powieści, częściowo eksperymentalnych, w języku angielskim. Pierwsza „The Knotted Cord” wiele zawdzięczała jego wojennej powieści „Po chłopsku”.

Na ogół dobrze przyjęte przez krytykę angielską, która pochwaliła język jako poetycki, może nieco wydumany, dostrzegła humor i techniczną subtelność. Niektórzy Polacy obrażali się, że ich wyśmiał w „The Future to Let”. Pochlebnie porównywany do Conrada autor realizował swoje marzenie, by mieć czytelnika, w tym wypadku, brytyjskiego. Zwierzał się, że lubił chodzić do czytelni publicznych i zaglądać do swoich książek, by czytać komentarze, które niektórzy czytelnicy pisali na marginesach książki. Wierzę, że była to pomocna korektura uczonych wywodów krytyków, z którymi Pietrkiewicz dyskutował w radiu i literackich żurnalach.

Chociaż stosunki Pietrkiewicza z władzami emigracyjnymi nie zawsze układały się pomyślnie, mimo, że atakował on je w swoich wypowiedziach, czuł potrzebę odwzajemniania niechęci, to po upływie czasu potrafił docenić walory duchowe swych niegdysiejszych adwersarzy i krytyków.

W czasie wieczoru autorskiego na naukowej konferencji w Toruniu w roku 2000 powiedział m.in.:

Ja wyróżniam w ciele emigracji emigrację wojenną, ta stworzyła instytucje, owe instytucje dalej istnieją. Owszem, były kłótnie, bo Polacy się zawsze kłócą – napisałem satyryczną powieść o tym, ale ona potwierdza coś niebywałego w tych ludziach. Że kiedy mają opuścić tę ziemię, nie odchodzą jako niewolnicy. Nie są przegrani, oni wygrali. I to jest bardzo ważne. Reszta emigracji jest przypadkowa, zarobkowa i inna, co nie znaczy, że ja jestem przeciwko niej, niech ona będzie! Ale nie łączmy tych dwóch rodzajów emigracji, granica podziału jest bardzo wyraźna. Emigracja wojenna wiedziała czego chce.

Jeden z nowatorskich poetów polskich Pietrkiewicz jest również autorem frapującej opowieści o polskich mariawitach „The Third Adam”, wydanej przez Oxford University Press oraz odkrywczych, krytycznych esejów literackich „The Other Side of Silence”. Okazał się też doskonałym tłumaczem poezji Jana Pawła II na język angielski.

*

Poznałem Pietrkiewicza w 1946 roku w londyńskim British Museum. W latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w School of Slavonic and East European Studies. Potem pozostaliśmy w sporadycznym kontakcie korespondencyjnym do końca.

Kiedyś na widokówce z Hampstead Pietrkiewicz napisał:

Florianie Drogi, jakie to miłe, że napisałeś ze Śląska...Widzisz, te powroty do źródeł są ważne, bardziej sprawdzalne w psychice, niż freudojungowe rebusy wedle mody (moda mija).

Przed wojną odwiedził Katowice, gdzie poznał śląskich pisarzy z Wilhelmem Szewczykiem na czele. Jeszcze w Londynie w 1964 roku otrzymałem od Pietrkiewicza przesyłkę z adnotacją *załączam wycinek o Szewczyku (z 1946) – może Pan go przekazać Szewczykowi jeśli Pan zechce*. Na wieść, że chcę pisać o Szewczyku, replikował:

Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta.

Ślązakowi śląskie anonimy polecam nakreślił na nadbitce z czasopisma „Eos” z zacytowanymi pieśniami ze Śląska Cieszyńskiego.

W 1996 roku jego pocztówka donosiła:

Dzień przed Twoim listem, dostałem też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał że chodziliście do tej samej szkoły w Tarnowskich |Górach. Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, to od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz. Stąd moje zaufanie do Ciebie niezmiennie. Arriba Silesia.

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawiania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wrócić do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny, Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół był przepelniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80 lecie...

Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu

przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”, „Piąty poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak ładnie się wokół mnie zamykają.

Ze wspomnieniami o Pietrkiewiczu uczestniczyłem w konferencji w Toruniu. Napisał:

Cieszę się, że byłeś na konferencji- to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat. Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie przez Giedroycia w pożegnalnym numerze rozmowy Bolesława Taborskiego ze mną na temat tej konferencji.

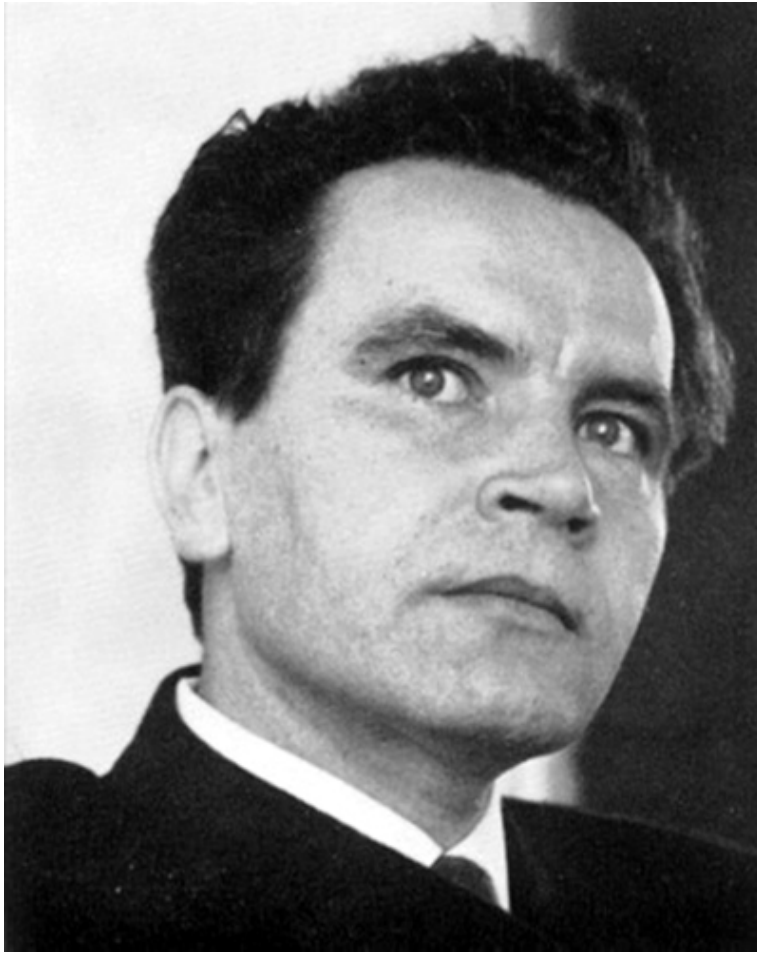
Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.

*

Urodzony w Fabiankach na Kujawach w 1916 roku, zmarł w Londynie w 2007 roku. Spośród nagród i odznaczeń najbardziej, sądzę, cenił sobie doktorat honorowy swojej szkockiej uczelni.

Druga strona milczenia

Jerzy Pietrkiewicz



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Arch. Emigracji.

Rozdział III

Dojrzała poezja wobec czynu

(fragment)

1.

Byłoby naiwnością sugerować, że dotrwanie poety do wieku dojrzałego oznacza koniecznie przetrwanie w nim doskonałego artysty. Ogólnie rzecz biorąc, poeci drugorzędni mają więcej szans na dostosowanie swoich zdolności do nowych warunków tworzenia, które wymagają mniej czarodziejskich zaklęć, a więcej umiejętności warsztatowych. Nie ulegają łatwo pokusie popadania w zadumę i służenia ideałom. Oczekują zapłaty za swój trud w postaci wyboru do jakiejś literackiej akademii albo nagrody literackiej z okazji jubileuszu dwudziestopięciolecia lub pięćdziesięciolecia twórczości poetyckiej.

Istnieje jednak inna, bardziej interesująca droga, którą może pójść dojrzały poeta. Pokusy, jakim musi stawić czoło, odwodzą go od uprawiania sztuki, a najsilniejszą z nich jest oddanie się na służbę jakiejś wielkiej sprawie. Wtedy poeta ma już wystarczająco dużo doświadczenia, jest też na tyle ostrożny, aby nie nadużywać swego pióra, a swoją niewiarę we wszelkie retoryczne deklaracje oprzeć na czasowym odrzuceniu poetyckich zaklęć. Jednocześnie jego reputacja dostarcza mu wiarygodnej wymówki do tego, by zaprzestać pisania. Oddaje się on wówczas aktywnej służbie. Gdyby jacyś ludzie zaczęli spoglądać na niego jak na umarłego poetę, nie poczułby się obrażony. Określenie „poeta, który padł w boju”, nawet w ujęciu metaforycznym, wydaje się mu całkiem do przyjęcia.

Dziewiętnastowiecznym poetą walki, człowiekiem, który zamienił płaszcz romantycznego podróżnika na żołnierski mundur, był Byron. Nie miało znaczenia to, że nie zginął w boju; do heroicznego mitu przeszła już sama nazwa greckiego miasteczka Missolongi, w którym zabiła go gorączka reumatyczna. Tym, co się liczyło, były jego szlachetne intencje. Wielu jego wielbicieli spoza Anglii znało tylko nieliczne szczegóły, dotyczące okoliczności jego śmierci; w ich oczach była to śmierć bohatera. Bo też gest Byrona w niczym nie przypominał postawy, jaką przyjęło wielu poetów-dziennikarzy, propagandystów „słusznej sprawy”, nadsyłających w okresie hiszpańskiej wojny domowej sprawozdania z linii frontu. Najbliższym odpowiednikiem losu Byrona w tym stuleciu (tj. w XX w. - przyp. tłum.) byłaby śmierć Ruperta Brooke`a w drodze na Dardanele: pogrzeb tego poety na Skyros, wyspie Achillesa, otoczył mityczną aurą jego wojenne sonety.

Dnia 22 stycznia 1824 roku, w swoje trzydzieste szóste urodziny, Byron napisał ostatni znaczący wiersz, będący psychologicznym kluczem do zrozumienia jego aktywnego życia. W nastroju niewątpliwej szczerości pyta w nim o słuszność swych pasji. Każda ze strof mówi o emocjonalnym wyczerpaniu poety, które jednakże nie wydaje się być zwykłym, romantycznym rozmarzeniem. Przeciwnie, uderza czytelnika jako próba dokładnego opisu następujących po sobie stanów ducha poety w sytuacji, gdy w nagłym olśnieniu pojmuje on znaczenie kolejnych wyborów. (...)

Pragnienie śmierci sięgnęło tu szczytu, ale tym razem owa „na polu walki... śmierć chwalebna” oznacza zarówno zrozumienie znaczenia historycznej chwili, jak i bardzo osobiste poczucie obowiązku. Grecja jest dla Byrona czymś więcej niż tylko sprawą,

za którą poeta walczy, tak jak jego poczucie obowiązku wykracza poza granice jego osobistych wyborów. Wie, że nie istnieje nic, co zdołałoby precyzyjnie określić jego wygasłe namiętności. „Robactwo, rak i cierpień moce - to mnie ogarnie!” Nie ma żadnej retoryki w tym stwierdzeniu kończącym drugą strofę. W szóstej („chwała i Grecja”) i w siódmej („Zbudź się, mój duchu!”) Byron wraca do techniki magicznych zaklęć; jest to pozbawiony szczerego entuzjazmu skok ku ekstazie, nieprzekonywający w każdym z użytych tu wykrzykników. Rzeczywista walka nie potrzebuje ostróg w postaci słów, musi stać się faktem godnym upamiętnienia, i Byron dobrze o tym wie.

Ponieważ czynne działanie oznacza wyjście poza poezję, choćby było to tylko chwilowe narażenie się na niebezpieczeństwo, odciąga ono Byrona od retorycznych rozważań o śmierci i stawia go w obliczu chwalebnej rzeczywistości jego własnego końca. Można więc spojrzeć na „żołnierski grób”, za którym goni, jako na oczywistą konsekwencję prowadzonej przez niego walki, a także jako na sąd potępiający *in absentia* całą poezję. Zwrot „w żołnierskim tylko grobie szukaj posłania” jest wciąż retorycznym tylko żądaniem przy końcu wiersza; rzeczywisty wybór przyszedł o wiele wcześniej, wraz ze zrozumieniem dwoistego sensu historii i obowiązku, z uświadomieniem sobie, że ta pierwsza nie urzeczywistni się bez tego drugiego.

A jednak to grecki epizod ostatecznie uchronił poezję Byrona od wrogiego krytycyzmu i nieprzychylnego grzebania w życiorysie poety. Bez względu na to, jak często krytycy przypisywali nieszczerłość pisarstwu Byrona, jego śmierć w Missolongi uwolniła przynajmniej niektóre poematy od uwłaczających oskarżeń. Uratował on swe poetyckie oblicze w oczach tych, którzy nie umieją oddzielić biografii pisarza od jego twórczości. Ten pozytywny wyłom pozwolił na poszukiwanie Byrona-poety także w innych jego dziełach. Przedmiotem pochwał są dziś jego „Vision of Judgement” i „Beppo”, a wirtuozeria „Dona Juana”, zawsze zresztą doceniana, przypisywana jest, niezależnie od warsztatowej zręczności, poetyckiej wyobraźni autora. (...)

Kuszące byłoby przeanalizowanie, czy w ostatecznym rozrachunku istnieje takie zjawisko, jak poetyka walki, rzucająca tak budujący blask na poetykę słów, że wcześniej napisane dzieła, nie mające z tą walką żadnego związku, zdają się odbijać ją mimo wszystko, zyskując w ten sposób na swoim znaczeniu. W jakim stopniu instynkt poety, podpowiadający mu zaangażowanie się w godnej upamiętnienia

walce, bierze w istocie w obronę jego zagrożone dzieła, które mogą zostać zignorowane przez przyszłe pokolenia?

Jeśli Byron odczuwał potrzebę stworzenia heroicznego mitu własnej osoby, musiał też zdawać sobie sprawę ze słabości swej sztuki.

2.

Postanowienie Adama Mickiewicza, aby stać się człowiekiem czynu, przypominało decyzję Byrona. Podobnie nieoczekiwany był jego skutek. Mickiewicz zmarł w roku 1855 w Konstantynopolu na cholera, a nie od rosyjskiej kuli. W czasie wojny krymskiej zaczęto formować polski legion i Mickiewicz udał się do Turcji, aby pomóc w jego organizowaniu i wypróbować samego siebie w bezpośredniej, patriotycznej akcji. Tego pięćdziesięciosiedmioletniego wówczas, przedwcześnie postarzałego człowieka, można by określić bez żadnej niechęci jako umarłego poetę, który od dwudziestu lat nie napisał dosłownie nic. Był w tym okresie wykładowcą, najpierw w szwajcarskiej akademii w Lozannie, potem w College de France. Wydawał też w języku francuskim tygodnik („La Tribune des Peuples”), a wreszcie został bibliotekarzem, która to posada była skromną synekurą. Mimo iż decyzja udania się do Turcji wynikała z jego politycznej działalności, osoby wspierające jego misję (takie jak książę Czartoryski czy Zamoyski) nadal widzieli w nim narodowego barda, być może niewygodnego pod pewnymi względami, pod innymi jednak jak najbardziej użytecznego dla propagowania sprawy polskiej. Liczyło się jego nazwisko.

Bez swych poetyckich osiągnięć w przeszłości Mickiewicz byłby mało wartościowym nabytkiem dla sprawy. One właśnie dały mu duchową legitymację do podjęcia czynnych działań. I podobnie jak Byron, którego podziwiał i tłumaczył, odczuwał potrzebę dostosowania świata swej wyobraźni do wymiarów praktycznego działania. O ile można sądzić na podstawie dokumentów, nie dorównywał Byronowi pod względem zdolności organizacyjnych. Także jego osobisty magnetyzm nie pozwoliłby mu na odniesienie sukcesów przywódczych, jakie stały się udziałem angielskiego poety. Miał jednak pewne doświadczenie w prowadzeniu zakulisowej polityki w okresie rewolucyjnego zamętu roku 1848. Dowodził legionem polskim we Włoszech, na rzecz którego agitował nader skutecznie, ale jednostka ta, pod względem liczebności, była bardzo skromnym przedsięwzięciem. W istocie, nawet wspomnienia

sympatyzujących ze sprawą świadków nie były w stanie ukryć rozczarowania na widok maszerujących legionistów. Niejaki G.A. Cesano zanotował, jak to pierwszego maja 1948 roku koło Porta Romana w Mediolanie zgromadził się tłum, aby uczcić polskich żołnierzy. Zamiast legionu ujrzano postarzałego człowieka, za którym szło jedenastu ludzi, w tym jeden garbus. Wzruszającym dowódcą krocącym na czele był oczywiście Mickiewicz. Jeśli przemarsz ten ilustrował pogardę poety dla rzeczywistych faktów, które inni ludzie mogli zmierzyć własnymi oczami, to wyzwanie to nie miało dość siły, aby przydać romantycznej otoczki późniejszym wspomnieniom, kiedy doszło do ich spisywania.

W jakim stopniu Mickiewicz zapamiętał ironiczną lekcję 1848 roku? Czy postanawiając udać się do Turcji rzucał wyzwanie samemu sobie?

O wiele ważniejszym przy ustalaniu motywów, jakimi się kierował, wydaje się być powracający w jego utworach motyw dynamicznego działania, stawiający zawsze głównych bohaterów w jakiejś kłopotliwej moralnie sytuacji, czy będzie nią patriotyczna zemsta poprzez zdradę, jak w „Konradzie Wallenrodzie”, czy ukrycie się pod zakonnym habitem przez człowieka, pragnącego okupić patriotycznym czynem dawną winę, jak w „Panu Tadeuszu”. Bohater musi przejść całkowitą transformację, poczawszy od przyjęcia nowego imienia i nowych szat. W każdym jednak przypadku transformacja ta nie może dojść do skutku bez bezpośredniego udziału w jakiejś akcji. Zły uczynek, jakkolwiek okupiony przez poświęcenie, musi zostać w końcu zrównoważony skalą podjętego działania. Na przykład, Jacek Soplica w „Panu Tadeuszu” nosi habit mnicha i żyje w ubóstwie, ostatecznie jednak stawia czoło, jak na początku, niebezpieczeństwom prawdziwej bitwy.

Kiedy natomiast, jak w dramacie „Dziady”, *alter ego* autora otrzymuje jednoznaczne upostaciowanie, bohater okazuje się być poetą i znowu otrzymuje imię Konrad. Wypróbowuje potęgę swego słowa rzucając w nadprzyrodzonej sferze ducha wyzwanie Bogu, będąc w świecie rzeczywistej walki więźniem oczekującym zesłania. Bezczynność narzucona tu człowiekowi czynu ma z pewnością znaczenie symbolu.

Można się zastanawiać nad tym, czy Mickiewicz doprowadziłby przenikniętą poetyckim duchem osobę Konrada do końca dramatu. Czy oddzieliłby całkowicie od poezji, to znaczy od iluzorycznej potęgi słowa, finałową scenę odkupienia? Wskazuje

na to jeden fakt: dramat jest niedokończonym dziełem nie dlatego, że tak został pomyślany, zgodnie z romantyczną modą na pozostawianie arcydzieł jako monumentalnych rumowisk. Mickiewicz pragnął, aby „Dziady” były jego głównym dziełem, faustowskim wyrażeniem jego własnego życia. Cenił je wyżej od wszystkich innych swoich utworów. Nawet w okresie jałowych lat po napisaniu „Pana Tadeusza” wracał do „Dziadów”, uzupełniając je scenami, które potem zniszczył. Dramat był najwyraźniej pomyślany jako integralna całość, i to mimo pozornej przypadkowości numeracji poszczególnych części i fragmentów. Pragnął go dokończyć, ponieważ był on tak jednolity pod względem duchowej koncepcji, i świadomość, że jego wyobraźnia odwróciła się od tego dzieła, musiała być dla poety źródłem rozpacz.

Pozostaje jednak znaczącym faktem, że pozostawił „Dziady” niedokończone, i bez względu na to, jakie powody można przypisać temu niepowodzeniu, pozostaje ono w związku z decyzją podjęcia czynnej walki, która, być może nieświadomie, była jednoznaczna z wybraniem śmierci przez poetę od dawna już umarłego. Jeden z jego późnych liryków, napisany w Lozannie, rozpoczyna się od słów: „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada”. Nie jest to makabryczny początek romantycznej ballady, ale osobiste wyznanie. (...)

3.

Poetą, który w nowszych czasach zdał sobie w pełni sprawę z ograniczeń, jakie poezja liryczna narzuca czynnemu działaniu i na odwrót, był Yeats. Bez reszty angażował się on w walkę o narodową kulturę i niezależność polityczną Irlandii. Z powodzeniem walczył o stworzenie irlandzkiego teatru. Podziwiał politycznych aktywistów Johna O`Leary i Maude Gonne, identyfikował się też z buntami wielkanocnymi 1916 roku. Jeśli marzycielski bard także ma wziąć na siebie odpowiedzialność, to tytuł „Responsibilities” jest dla Yeatsa bardzo znamieny. Ale kryzys, który dotknął go w wieku dojrzałym, dotyczył poetyckiego stylu. Yeats żył jednak wystarczająco długo, aby spojrzeć trzeźwo na swoje poprzednie rozczarowania. Bo mimo wszystko historia dogoniła jego marzenia. Niedługo po tym, gdy zawołał z poirytowaniem: „Moje marzenia wyczerpały się”⁴/, Irlandia zdobyła status wolnego państwa, a on sam został w tym samym 1922 roku senatorem.

Gdy tu wróciłem - pisał w styczniu 1923 roku do Roberta Bridgesa - okazało się,

że mam zasiadać w Senacie, który wprowadzie nie łamie porządku moich poranków, kiedy piszę wiersze i tym podobne rzeczy, ale zabrał mi sporą liczbę popołudniowych godzin, w których piszę listy.

Od czasu do czasu zabierał głos na posiedzeniach Senatu. W roku 1926 zgodził się przyjąć funkcję przewodniczącego komisji, która miała służyć doradztwem w sprawie nowych monet dla irlandzkiego państwa. Odrzucił jednak stanowiska w służbie publicznej, nie bacząc na ich ważność. Czynne działanie przestało być dla niego alternatywą dla pisania. Nie mogło zresztą kusić go zbyt w sytuacji, gdy zostało zredukowane do poziomu bieżących, codziennych spraw. Wtedy właśnie rzemiosło barda zażądało od swego dawnego adepta skorygowanego rachunku. Wydaje mi się przy tym rzeczą nieistotną, czy Yeats podjął to odmładzające przeobrażenie, żeby oszukać swój wiek, czy też samą poezję. Na nowo wszakże uświadomił sobie dylemat, przed jakim stoi artysta, wyrażony przez niego jeszcze w roku 1910. (...)

Jeśli od bezpośredniego udziału w codziennym życiu, rozumianego zarówno jako wewnętrzna potrzeba, jak i swego rodzaju służba, ważniejsze okazuje się przyzwyczajenie poety do mozolnego trudu składania wierszy, to pokusa aktywnego udziału w jakiejś misji zostaje zredukowana do pozornego tylko obowiązku i przestaje być nagłym nakazem.

W tym świetle powinno się, jak myślę, lepiej rozumieć kryzys zaangażowania, jaki objawił się w okresie powojennym. Poeci dojrzeli naraz, jeden po drugim, prawdziwe mechanizmy powstawania różnych ideologii, w większości błędnych i dlatego skazanych na upadek. I jeśli poeta działał kiedyś, jako naiwny wyznawca, zastraszonego neofita albo płatny propagator, taka działalność mogła napełnić go tylko obrzydzeniem. W całej wschodniej Europie po śmierci Stalina ci, którzy byli piszącymi aktywistami, wyrzucili z siebie całą swoją odrazę do słów jeszcze większą lawiną słów. A sztuka pisania wierszy, nawet gdy brakło jej natchnienia, wydała się znowu godna szacunku. Nie istniała już groźba jakiejś wzniosłej, mglistej alternatywy: komplet narzędzi czekał, żeby je chwycić do ręki.

4.

Rozważania z poprzednich stron mogą dać wrażenie, że dojrzały poeta skazany jest

na rozczarowanie czynnym działaniem zawsze wtedy, gdy służy mu ono jako potencjalne lekarstwo na twórcze udręki. Nie odbiera to jednak wartości doświadczeniom, zdobytym w trakcie jego uprawiania, choć mogą one dostarczyć jedynie dowodu na iluzoryczność poezji. Doświadczenie jest niewątpliwym zyskiem. To, czy jest ono w stanie uodpornić poetę, nie jest już takie pewne.

Bo zamiast posłużyć jako środek na „wyleczenie” z poezji, może zakiełkować nową poetycką gorączką. Obok rozczarowanego czynną działalnością Yeatsa staje nowy Yeats, poeta pełen namiętności i gniewu, przemawiający głosem nawiedzonego. Nie zamierzam tu kwestionować tego rodzaju doświadczenia. Nie próbuję też dyskwalifikować poety, a zarazem czynnego działacza, za brak konsekwencji. Chcę tylko podkreślić wagę samego doświadczenia, które, jakkolwiek może być czynnikiem odradzającym, nie odsłania innego oblicza poezji. Ignoruje ono potrzebę zachowania milczenia, tak jak młodość ignorowała potrzebę posiadania doświadczenia.

Po czym możemy poznać poetę, który jest o krok od wejścia na niewidzialną ścieżkę, prowadzącą ku krainie milczenia? Wydaje się on człowiekiem doskonale przystosowanym do życia w społeczeństwie, osiągnął pełnię męskich lat, ma za sobą sukcesy. Mimo wszystko zaprzeczy on jednak zarówno swym artystycznym, jak i społecznym osiągnięciom, kierując się ku tamtej stronie. Tym, co naznacza go w sposób wyraźny, jest jego rozczarowanie zdobytymi doświadczeniami.

Jerzy Pietrkiewicz: Druga strona milczenia, Oficyna Wydawnicza “Agawa”, Studium o poezji polskiej i europejskiej XIX i XX w., przełożył: Jan Jackowicz.